Świat Kobiecy

N-R 10 | 15 MAJA 1931 R. | ROK XI



CENA ZŁ [illegible]

Lwów w maju 1931 r.

Do

ŁASKAWYCH NABYWCZYŃ

Monatowej Uniwersalnej Książki Kucharskiej

Wiemy z wieloletniego doświadczenia, z tysięcy listów, z setek rozmów z temi Klientkami, które osobiście naszą księgarnię odwiedzają, że każda Pani, która „Monatową" (jak tę najpopularniejszą z książek w całej Polsce nazywają) nabyła i używa, jest tą książką kucharską wprost zachwycona a żadna niema jej niczego do zarzucenia. To nie byle co! Zaiste rzadki to wypadek, by jakaś książka cieszyła się tak powszechnem uznaniem i osiągnęła tak zawrotną liczbę nakładów. A powodzenie to stoi w prostym stosunku do wartości tego kulinarnego arcydzieła.

Jak łatwo więc może każda z nabywczyń „Monatowej" z lekkiem sumieniem polecać tę książkę wszystkim swym znajomym, wiedząc, że skłaniając przyjaciółkę do zakupienia „Monatowej" prawdziwie przyjacielską oddaje jej usługę i że słyszeć będzie od niej zawsze tylko słowa niekłamanej wdzięczności.

Wiemy jednak, że z każdą, choćby najszlachetniejszą propagandą złączony jest pewien trud, pewien — choćby minimalny — wysiłek. Dlatego naszem gorącem życzeniem jest zrewanżowanie się naszym przemiłym Klientkom. Ofiarowujemy więc łaskawym a naszej firmie zawsze życzliwym Klientkom pewien mały upominek za każdą podaną nam nową nabywczynię „Monatowej" w formie książki wartości zł 5·— (za każdy Jej wstawiennictwem nowonabyty egzemplarz „Monatowej").

Wybór tych książek bogaty, bo dowolny z naszego obszernego katalogu nakładowego.

Proszę więc pomyśleć jaka nadzwyczaj miła okazja, bo:

1) można oddać prawdziwą usługę drugiej kobiecie,
2) można wzbogacić bibljoteczkę szeregiem pięknych książek
3) i... można serdeczną przysługę wyświadczyć Księgarni Polskiej Połonieckiego, która zawsze stara się być na usługi Łaskawych Pań.

Polecając się wypróbowanej życzliwości naszych Klientek kreślimy się

z poważaniem

KSIĘGARNIA POLSKA
BERNARD POŁONIECKI
WE LWOWIE i WARSZAWIE

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 10 — ROK XI — WARSZAWA — LWÓW — 15 MAJA 1931 ROKU

BAŁWAN WSPÓŁCZESNOŚCI

BAŁWAN jest to, jak wiadomo, wypróbowany doświadczeniem wieków środek do wystrychania naiwnego człowieka na dudka. Z wierzchu wygląda to naprawdę jak solidne bóstwo gromowładne, że choćbyś nawet był zgoła niedowiarkiem, na wzór onego tetmajerowskiego górala-ateisty, to przecież lęk cię czasem bierze i, przechodząc mimo, zdejmujesz kapelusz „na wszelki wypadek". A nuż? Pan Bóg raczy wiedzieć... Są przecież chwile, lucida intervalla ludzkiego rozumu, kiedy poskramiamy lęk, dobieramy się rzekomemu bóstwu do skóry i odkrywamy w środku zbutwiałe drzewo lub kamień zwietrzały. „Królowie" — powiada nasz wielki poeta — zabili kiedyś prawdziwego Boga i porobili narodom bałwany: interes, honor, równowagę polityczną i t. p. Ludy poczęły bić pokłony nowym bóstwom, nie zdając sobie sprawy z tego, że kryje się w nich kłamstwo Bogu jedynemu. Dzisiejsi władcy życia i śmierci artystów, nieomylne kardynały krytyki literackiej postawiły poetyckiemu ludkowi bałwana, który się nazywa „współczesność".

Powiada taki kardynał do wystraszonego artysty: „Ażebym ci mógł, kochasiu, dać nominację na prawdziwego poetę, musisz być współczesny!"

Poeta: Alboż nie żyję dziś właśnie, to jest współcześnie z Waszą Eminencją?

Kardynał: Żyjesz, niestety, prawda, ale to mało, trzeba mieć duszę współczesną!

Poeta: Zdawało mi się dotychczas, że mam jaką taką duszę...

Kardynał: Powiedziałem: współczesną.

Poeta: Rozumiem, współczesną duszy Waszej Eminencji.

Kardynał: Jesteś cymbał. Chodzi o duszę, coby była zwierciadłem współczesności, funkcją, wykładnikiem, równaniem tejże współczesności! Wiesz już teraz?

Poeta: Niby to wiem, że, żyjąc dzisiaj, przy dobrem zdrowiu mych wszystkich pięciu zmysłów, nie mogę, ipso facto, wprowadzać do duszy czegoś, coby nie żyło razem ze mną, koło mnie, to znaczy, współcześnie.

Kardynał: Widzisz, człowieku, można żyć dzisiaj a myśleć i czuć dniem wczorajszym, jak np. niedługo szukając taki Carlyle, który nie potrafił doszukać się piękna w rozhukanym pędzie współczesnej mu lokomotywy i na złość jej jeździł po staremu dyliżansem.

Poeta: Za pozwoleniem Waszej Eminencji, — czy ta niechęć Carlyle'a do parowozu, będąc szczerym sprzeciwem wobec pewnego zjawiska współczesności, nie była temsamem rzetelnym wytworem tejże współczesności?

Kardynał: Tak, kochanie, ale w sensie ujemnym, negatywnym; tymczasem życiem jest to, co toczy się naprzód po szynach nowych pomysłów, nowych idei.

Poeta: To znaczy, że taki np. Svedenborg, który naprzekór Locke'om i Hume'om spacerował sobie jak nic pod kolumnami duchów, albo takie Cagliostra i St. Germainy, którzy pędzone przez Voltaire'a demony pakowali w stoliki i stukali niemi po encyklopedycznych głowach — że oni nie żyli?

Kardynał: Oni byli mniejszością. Naprawdę żyje tylko większość.

Poeta: To znaczy, współczesne jest to, co jest w danej chwili przy rządzie, przy władzy, opartej o większość?

Kardynał: Zaczynasz nareszcie pojmować. Gratuluję ci!

Poeta: A czy, z przeproszeniem, większość musi mieć rację?

Kardynał: Fiknąłeś, serduszko, na inny temat!

Poeta: Jabym przecież chciał wiedzieć Eminencjo...

Kardynał: Zależy, co ty rozumiesz przez rację.

Poeta: Ja tak całkiem po prostu. Coś, co jest poza większością i mniejszością. I wczoraj, i dzisiaj, i jutro.

Kardynał: Jakto? Nie wiesz biedaku, że nic niema trwałego pod słońcem? Panta rei. Tempora mutantur. Najmniejsza chwilka nie stoi w miejscu. Ty sam już

nie jesteś ten sam, którym byłeś dopiero co, kiedyś ze mną zaczynał rozmowę; już się tam coś w tobie ruszyło, zmieniło. Jakże mi cię żal! (Tu poeta rzeczywiście trochę się zasmucił.)

Kardynał: Dlatego, widzisz, racją jest to, co w danej chwili większość, a więc coś, co żyje istotnie, potrafiła narzucić mniejszości, a więc temu, co tylko udaje żywot doczesny a poprawdzie jest pospolitym nieboszczykiem, niebożątkiem, to jest czemś niebożem, czyli djabła wartem. Możnaby tę siłę żywą nazwać także spinozyzmem, santeizmem, dynamiką świata, powszechną grawitacją, ale najlepiej: racją stanu współczesności!

Poeta: A co mi daje taka racja stanu?

Kardynał: Przedewszystkiem to, że mogę cię wtedy nazywać publicznie, bez wstydu, poetą, a potem to, że nie znajdujesz się wówczas w kłopotliwej sytuacji dziada stojącego naprzeciwko obrazu, to jest, masz poprostu do kogo mówić, jesteś rozumiany, jesteś do ludzi podobny, jesteś takim, jakim cię pragną mieć ludzie...

Poeta (przerywając): To znaczy większość...

Kardynał: Czyli ludzie poprostu. Nie przerywaj! Jednem słowem, uprawiasz z powodzeniem swoje artystyczne rzemiosło.

Poeta: Czyli, że racją mej, za pozwoleniem, twórczości ma być powodzenie?

Kardynał: Wymawiasz to słowo z głupim przekąsem, jesteś poprostu śmieszny. Cóż innego jak nie powodzenie jest dźwignią wszelakiego postępu. Przeciwieństwem powodzenia jest klapa, czyli niedołęstwo, fujaryzm, a więc coś chorobliwego, gruźliczego, co ino życiu przeszkadza, pląta mu się między nogami, opóźnia jego zdrowy pochód, co więc powinno być niszczone, wywożone za miasto i palone jak śmiecie! Mens sana in corpore sano. Do silnych i zdrowych należy świat!

Poeta: A proszę Eminencji, czy zdrowie jest ilością?

Kardynał: Nie rozumiem. Wyrażaj się jaśniej! Jak ty mało korzystasz ode mnie?

Poeta: Bo tak mi się jakoś przypomniało jak to histeryczne, a więc chore baby trackie rozszarpały większością zdrowego jak rydz Orfeusa...

Kardynał: Nie żartuj! Nie mam czasu. Ja mam na głowie losy całej literatury.

Poeta: Gdzieżbym śmiał żartować. Ja się naprawdę poważnie pytam, czy większość to jest, jakem się dowiedział, współczesność, musi być tem samem zdrowa?

Kardynał: Użyłem — niedorajdo — wyrażenia „zdrowie" w znaczeniu przenośnem, jako synonimu siły zwyciężającej w pewnym momencie dziejowym. Postęp ludzkości buduje się ze wszystkich razem zwycięstw człowieczego genjuszu, człowieczej mocy prężnej.

Poeta: Czy zawsze jednak zwycięża genjusz prawdziwy? Znowu mi przyszły na myśl owe wiedźmy trackie...

(Tu Kardynałowi brakło na chwilę oddechu.)

Poeta: Eminencja trochę się zmęczył, proszę odpocząć na moment a ja tym razem powiem trochę więcej.

Kardynał: Rzeczywiście jestem trochę zmęczony.

Poeta: Więc naprzód nie mam jakoś zupełnej pewności, czy to akurat genjusz zwycięża w otaczającej mnie współczesności, tyle bowiem było na świecie zwycięstw wszelakiego cielęctwa, barańswa i innego pospolitego przychowku, że muszę być naprawdę ostrożny. Zapewne, bardzo jest przyjemnie należeć do obozu rządzącego. Okrzyczą cię człowieku wielkim talentem, genjuszem nawet, obdarzą na podróże, bzdurę napiszesz — wydadzą, wystawią, chodzisz w sławie jak w aksamitnych pantoflach puchem wyłożonych, jednem słowem: żyjesz, co się zowie. Tylko jednej rzeczy mieć wtedy nie mógłbym, a mianowicie: lusterka. Nie mógłbym patrzeć na siebie bez śmiechu... A ja tak lubię przyglądać się sobie. Patrzyć w siebie i szukać prawdy własnej, mojej własnej racji stanu. Niezależnej od Waszej Eminencji i Jego — współczesności, która, jak to miałem zaszczyt słyszeć, jest tylko momentem, falą, którą podnosi na czas pewien i znowu pochłania mare tenebrarum. Wprawdzie, podobno, i ja sam w każdorazowej chwili jestem tylko taką samą falą krótkotrwałą, ale w uczuciu mojem burzę się przeciwko temu protestem! Może nie jestem jeden, ale chcę być jeden, to jest wszystkie fale życia mego sprowadzać w buncie do wielkiej jedności. A wyszedłszy z jedności własnej szukać takichże jedności poza mną. Świat cały sprowadzić do najwyższej jedni. Otóż to właśnie Eminencjo! To jest Bóg prawdziwy w Kościele Sztuki! A Twoja „współczesność" to naprawdę bałwan, udający niezdarnie bóstwo niebieskie. Pewnie, że ludzie wolą bałwany niż prawdziwe bóstwa. Bałwan jest widoczny, namacalny, bałwana można, jak Włosi figurkę św. Antoniego, wygrzmocić kijem co się wlezie, jeżeli jest niegrzeczny, to jest jeśli nie daje czcicielom odpowiednich zysków! O tak! ludzie mają skłonność do bałwaństwa. A mnie to się jakoś nie podoba i wolę moje niewidome bóstwo. To jest, chcę być w zgodzie z moją własną prawdą.

Kardynał: Pan skończył?

Poeta: Do usług!

Kardynał: Wie pan, że z pana jest pyszny kawalarz...

KAZIMIERZ BROŃCZYK



JULJA SMOLKÓWNA „Stary rynek w Kazimierzu n. W."
Z Wystawy Związku Artystek Polskich

MIĘDZYNARODÓWKA PRACY ZAWODOWEJ KOBIET



MISS DOROTHY A. HENEKER

— ZAPRASZAJĄ NAS do jeszcze jednej „międzynarodówki” kobiecej!

— Czy to nie będzie za wiele? Należymy (my — to jest Polki) do Rady Międzynarodowej Kobiet, do Związku Równouprawnienia i Pracy Obywatelskiej, do Ligi Pokoju i Wolności, do sekcji kobiecej II. Międzynarodówki socjalistycznej, do Fidac'u żeńskiego, do Zjednoczenia Kobiet Słowiańskich, do Stowarzyszenia Kobiet z Wyższem Wykształceniem, do Międzynarodowego Związku Prawniczek, Pielęgniarek, bodajże i Lekarek, — inne zawody też mają lub wkrótce mieć będą swe zrzeszenia międzynarodowe... Czy tego nie za wiele?

Takie wątpliwości nasuwały się na wieść o przybyciu do Polski (narazie do Warszawy i Krakowa) przedstawicielki „Międzynarodowego Związku Kobiet Pracujących Zawodowo” — International Federation of Business and Professional Women.

Na siły społeczne Polek, na nasze jeszcze niedość spoiste organizacje i mało wyszkolone działaczki spada nawał obowiązków organizacyjno-reprezentacyjnych. Ale tempo życia współczesnego, konieczność nadrobienia zaległości kulturalno-społecznych narodu i doniosłość propagandy na wszelkich terenach, na których można mówić o Polsce i przedstawiać polski punkt widzenia, sprawia, że nawet niedość przygotowane, przepracowane, lecz czynne i uspołecznione, Polki chętnie łączą się z temi organizacjami międzynarodowemi, które wydają się mieć jakieś większe ideowe znaczenie i wpływy, oraz przyszłość przed sobą.

Więc i dla Międzynarodowego Związku Kobiet Pracujących znalazł się oddźwięk dość silny wśród przedstawicielek różnych zawodów i organizacyj kobiecych, gdy na zaproszenie Wydziału Zagranicznego Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet odbyły konferencje z Miss Dorothy A. Heneker, przybyłą z Ameryki na europejski objazd przed tegorocznym kongresem w Wiedniu — i zawiązały w Warszawie Tymczasowy Komitet, mający na celu zorganizowanie polskiego oddziału tej „międzynarodówki” kobiecej.

Pierwsze Zrzeszenie kobiet pracujących w handlu i przemyśle (business) oraz zawodach wolnych (profession) powstało przed 12 laty w Stanach Zjednoczonych w St. Louis. Założyła je grupa „praktycznych idealistek”. Warunki pracy w Ameryce są niezwykle ciężkie, to też współpraca społeczna ma tam szczególniejsze znaczenie. W tej chwili Związek w Stanach Zjednoczonych ma około 70.000 członkiń, należących do 540 różnych zawodów, ma własne biuro, zajmujące całe piętro w drapaczu nieba na Broadway'u i własne pismo p. t. „The Independent Woman” (Samodzielna Kobieta).

Amerykanki wysunęły trzy cele dla swej organizacji: 1. skupienie sił kobiecych, 2. pomoc wzajemna, 3. rozwój koleżeństwa.

Poszczególne koła lokalne pracują autonomicznie, zależnie od swych potrzeb i warunków, tworząc kluby, kursy dokształcające, instytucje samopomocy, organizując pomoc prawną, lekarską, poradnictwo zawodowe, rozwijając życie towarzyskie, sportowe. Naczelny zarząd zajmuje się sprawami ogólnemi i stara się nadać kierunek pracy kobiet w całych Stanach.

Akcja Amerykanek zaczęła się od zbadania warunków pracy zawodowej kobiet. Przeprowadzono ankiety przy pomocy ministerstw i samorządów, ustalając w jakich zawodach największe korzyści osiągają kobiety, jakie są bolączki ich pracy, jakim podlegają prawom, ile zarabiają i t. p. Zorjentowawszy się w sytuacji na rynku pracy kobiecej, działaczki poruszyły dziedzinę nowych zawodów, w których warto byłoby zatrudnić kobiety.

Na tem polu poczyniły bardzo wielkie postępy, rozszerzyły ilość specjalności, jakie mogą uprawiać kobiety, a przez dobrze postawione poradnictwo zawodowe i reformę szkolnictwa zawodowego skierowują zastępy młodych dziewcząt na właściwe dla nich stanowiska, udzielają pożyczek zwrotnych (w rodzaju stypendjów) pracownicom, chcącym się dokształcać z funduszu, jaki nam wydałby się zawrotnym — 250.000 dolarów. Ale przecież członkiń jest 70.000!

Trzecią dziedziną akcji jest poprawa warunków prawnych i materjalnych kobiet zawodowo pracujących. Bo i postępowa Ameryka ma jeszcze niejedną pozostałość archaiczną w prawodawstwie w stosunku do kobiet, ma niskie w porównaniu z mężczyznami płace, ma wreszcie specjalne warunki morderczej wręcz konkurencji.

Pozatem dba Związek o zdrowie członkiń, organizowanie dla nich wakacyj, podróży, uzyskuje zniżkowe ceny na kolejach, okrętach i t. p.

W roku ubiegłym, przedstawicielki amerykańskie zorganizowały zjazd w Genewie z przedstawicielkami europejskiemi i tak powstał w sierpniu 1930 roku Międzynarodowy Związek. Należą doń, prócz Stanów Zjednoczonych, Kanada, Austrja, Francja, Włochy, a Anglja, Belgja, Holandja organizują swe oddziały narodowe.

Oddziały mają dużą swobodę zrzeszania się według dowolnych zasad, bądź jako związki organizacyj kobiecych, bądź jako stowarzyszenia o indywidualnem członkostwie. Warunkiem jest tylko, by uznawały zasadnicze cele Związku Międzynarodowego i łączyły kobiety bez różnicy przekonań politycznych i wyznaniowych.

Na czele „International Federation of Business and Professional Women” stoi Amerykanka, adwokatka, Lena Madesin Phillips i cztery wiceprezeski (p. Traversari — Italja, Yvonne Netter — Francja, Dr Marjanna Beth — Austrja, Helen Fraser — Anglja). Każdy oddział narodowy ma swoją przedstawicielkę w zarządzie głównym.

W Londynie jest wydział organizacyjno-gościnny, który zajmuje się urządzaniem zebrań, wymianą prelegentek na terenie międzynarodowym oraz ułatwianiem pobytu i gościny członkiniom w różnych krajach.

W Paryżu ma swą siedzibę wydział wymiany wytwórczości, który popiera przemysły kobiece, wydaje i rozsyła próbki towarów oraz informacje o firmach, prowadzonych przez członkinie, poleca ich wyroby we wszystkich krajach sfederowanych.

We Włoszech ma swe centrum wydział pomocy dla artystek i wymiany artystycznej. W Nowym Jorku — wydział reklamowy, w Kanadzie — wydział członkowski, w Wiedniu — wydział informacyjny dla spraw pracy kobiet, publikacyj zawodowych i studjów z tego zakresu.

Z tak rozbudowanej organizacji mogą Polki odnieść korzyść; niewątpliwie same też będą mogły dorzucić niejedną zdobycz własną i pracę do wspólnej akcji, która, oprócz bezpośredniego znaczenia praktycznego, ma także cel idealny: porozumienie i zbliżenie pokojowe między narodami świata.

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

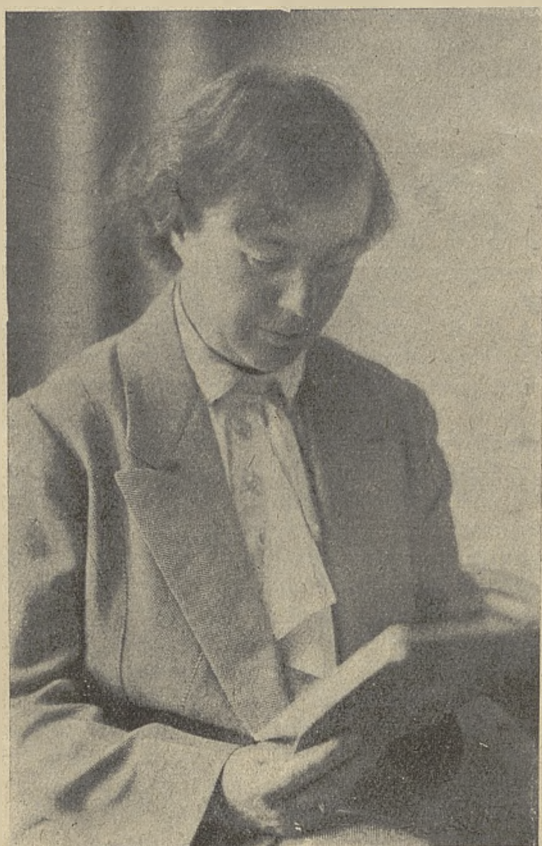
POWIASTKA KOSSAK SZCZUCKIEJ *

„...A przecież dawniej ludzie mówili: kocham ją, ona mnie kocha i ufamy sobie wzajemnie... Mówili tak, i to obowiązywało długo...” Na zilustrowaniu przytoczonej „tezy” w perspektywie dnia dzisiejszego oparła świetna pisarka szkielet swojej współczesnej powiastki. Fabuła, powiedziałbym zwyczajna, prosta, codzienna, zgoła niewyszukana, przewija się tu lekko poprzez istotnie ważkie i aktualne zagadnienia współczesnego ziemiaństwa, współczesnej miłości czy raczej miłostek lekkomyślnych, raz po raz ukazując niefrasobliwym humorem roześmiane oblicze autorki, która jednocześnie zdradza wybitny talent satyryczny.

Jeśli idzie o ów rys satyryczny, dość wspomnieć kapitalną scenę odwiedzin Pana Prezydenta w Ozorowie. Gorączkowy, podminowany nastrój miasteczka — a nadewszystko konwencjonalne rozmowy miejscowej „inteligencji” z Głową Państwa, streszczające się w rozpaczliwie monotonnych ...„czy Pan Prezydent zna nasze strony? — a podoba się tu Panu Prezydentowi? — a nasze tramwaje — a gmach sejmiku” — i znów da capo al fine...

Prawie że banalnie rozpoczynającą się „powiastkę” — przyjazd Jasia Poręby z kuzynem Władkiem, w zimie, do Zakopanego — na narty — ożywia autorka wprowadzeniem rzeczywistej aktualności.

Poręba przypatruje się zawodom, w których biorą udział autentyczni nasi narciarze, jak Bronek Czech, nasze wojskowe czy hockey'owe drużyny. Poręba, właściciel Byrek, młody przystojny ziemianin, dziedzic, ulega oczywiście świeżemu czarowi Janki Rudzkiej — pobieżnie wprawdzie narysowanej, ale zaznaczającej się mocno, jako — w pojęciu autorki — pewnego rodzaju ideał współczesnej „panienki”. Niezdolna do flirtu, zatem coraz mniej interesująca Janeczka ustąpić musi wkrótce wdziękom pięknej i równie lekkomyślnej, czarująco rozkapryszonej żony bogatego przemysłowca, zakochanego fujary — pani Aliny Błędowskiej.



ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA

Zwyczajną ścieżką potoczą się teraz dzieje zakochanej pary, Poręba rozkocha się „szalenie”, dla pani Aliny będzie zaś owa „przygoda” interesującą miłostką — która z zakopiańskiego terenu przeniesie się w rodzinne strony Poręby; trzeba bowiem dodać, że państwo Błędowscy rezydowali w niedalekich od Byrek Chomiczach.

Stąd ciągłe wizyty Poręby, stąd wzrastające jego nadzieje. Drugą, poza flirtem, namiętnością pani Aliny były „sprawy ducha”, wywołujące dreszczyk historje medjumiczne, które niebawem staną się przyczyną rozcięcia węzła oczekiwań Poręby.

Wycieczka Fordem do słynnego medjum w Rożenicach, p. Emmy Grzędzielowej — coprawda w towarzystwie zapalonego badacza świata duchów, profesora Huby, który jednak, po pierwszem „posiedzeniu” zemknie corychlej, aby ogłosić wyniki w prasie, wycieczka — oczywiście bez męża — otworzy Porębie pośrednio wrota upragnionego raju. Pośrednio — gdyż bezpośredniemu „szczęściu”, mimo sprzyjające — zdałoby się — defekty motoru (co za świetna figura — ów poetyczny szofer Wiesław Wiecheć!) stają na przeszkodzie najrozmaitsze pechowe przeciwności w osobach okrągłego księżulka, czy straszliwego stróża moralności, pana przodownika w korytkowskiem hotelu.

Snać jednak przeznaczenie, które z jednej strony kazało ciotce Poręby cofnąć gwarancję pożyczkową, z drugiej popchnęło Alinę „przepisowo” w objęcia Poręby. Mąż-cerber, przekonany o zdradzie małżonki — robi wspaniałomyślną, szlachetną ofiarę, przekazując rywalowi żonę... z propozycją materjalnego wsparcia jej przyszłych kaprysów. Wszystko oczywiście na nutę wielce tragiczną. Jest potem śmierć — prawdopodobnie samobójcza — Błędowskiego, śmierć przepowiedziana przez jasnowidza Wyrwicza-junjora w tajemniczej budzie na wystawie poznańskiej i odwlekane z dnia na dzień małżeństwo.

Sprawy codzienne poczynają nudzić, plączą się, mętnieją i rozklejają spoiwo pierwszych miłosnych żarów.

Albowiem zjawia się młody emeryt o „ułańskiem wzięciu”, major Konarski, odnajdujący w sobie, gwoli przypodobaniu Alinie — dziwne skłonności medjumiczne. ...A Wyrwicz - junjor przepowiadał także Janeczce Rudzkiej spełnienie życzeń...

Wspomniałem już, że w tok niezbyt skomplikowanej fabuły wplata autorka wiele myśli o współczesnem ziemiaństwie, myśli bystrych i trafnie ujmujących istotę owego zagadnienia.

Idzie tu głównie o przewrót, jaki bezwątpienia dokonał się w tych sferach, stawiając je jednak — jak dotąd — na przykrem rozdrożu.

Płynie to stąd, że „między rokiem 1910 a 1930 leży co najmniej sto lat normalnego rozwoju. A że połowa ludzi pochodzi jeszcze z „tamtych” czasów, że są jak Bracia Śpiący przebudzeni w nieznanych warunkach, i nie mogą się z obecnym stanem rzeczy pogodzić, ani w nim zorjentować, — stąd wszystkie nieznośne konflikty i tarcia”.

Wypadałoby tu zresztą przytoczyć cały prawie monolog myślowy Poręby, na co jednak nie pozwalają ramy recenzji.

Ostatecznie „powiastka” Szczuckiej — choć tak odbiegająca od dotychczasowego genre'u autorki, — poza podkreślonym już momentem aktualności najrzeczywistszej — posiada jeszcze urok i walor głębokiego spojrzenia w splot dni dzisiejszych.

WŁODZIMIERZ LEWIK

* „Dzień dzisiejszy”. Kraków 1931. Krakowska Spółka Wydawnicza.

W GOTOWALNI PANI

ROK 1761. W antichambrze złocisty zegar dwunastą wydzwania. A tuż i przy łóżku pektoralik maleńki kurantem dźwięcznym znak daje. Pani budzi się i po taśmę dzwonka sięga. Trzeba wstawać. Dziś gala u ks. Kanclerzyny. Ubrać się trzeba, przysposobić. Zbiegły się więc wszystkie panny i wkrąg łoża stanęły, a radzą, a plotki opowiadają, która prędzej. Pani pije czekoladę.

Aż tu pokojowiec puka oznajmiając, że chevalier Bienaimé pokorne swe służby przedstawia i radby się z panią przed jej wstaniem obaczył. Panny pochyliły głowy i szepcą coś i uśmiechają się, gotowe odejść. Amor stiukowy, co niebieskie adamaszkowe podniebie łóżka trzyma, napiął łuk i czeka. — Pani pięknie dziękuje, ale zbytkiem zajęć przeszkodzona, acz z żalem głębokim — miłego kawalera przyjąć dziś nie może.



Potem ruch w sypialni się czyni i wielkie spódnic furkotanie. Bieży jedna panna, wstającej z łoża rękę podaje i atłasową kołdrę precz odrzuca. Już druga jedwabne, białe pończoszki wdziewa i trzewiczki materjalne podaje. Owóż inna pudermantel czyli podwłośnik biały, suto garnirowany, na ramiona pani swej zarzuca.

Tak przyodziana idzie pani do gotowalni. Jest to pokój jasny, oczom miły. Tam sprzęt najgłówniejszy to w obłoki wzorzystego muślinu ubrane — zwierciadło, a pod niem stół biały. Na przestronej płycie stołu drobiazgów przeróżnych mnogość — jakoby kupczyk wędrowny kram swój rozłożył. Więc balsamki, albo naczyńka na wonie z kryształu i złota. Więc amelki czyli puszki małe na schowanie maści. Więc puzderka kosztowne do przechowania pudru, bielidła, czernidła, błękitnidła i różu. Tu puszą się delikatne łabędziki do pudru. Owdzie mienią się kryształowe flaszeczki z larendogrą, wodą różaną i wódką francuską. Kolorowe fiżki i jadwiżki czyli poduszeczki do szpilek wiszą na wstęgach wpięte w muślin. Rzędem leżą szczoteczki do brwi przyczesania, do paznogci oczyszczenia, a obok grzebienie. Większe do czesania służą i są z bukszpanu albo drzewa bzowego, mniejsze do podtrzymania splotów i ozdoby, wyrobione są pięknym kształtem z szyldkretu, srebra, złota i kamieniami drogiemi sadzone.

I anibyś człowiecze pojęcie miał co z temi wieloma rzeczami czynić należy i stropiłbyś się wielce, jak ich zażyć wypada. Ale Pani wie i rączka jej zawsze nieomylnie sięga po to, co walor jej piękności niezawodnie podniesie.

Teraz panna jedna podaje miednicę i nalewkę srebrną. Pani przemywa ręce pachniącem mydłem francuskiem. Doniedawna używano mydła barskiego albo weneckiego. Dziś moda na francuskie. Potem, wódką francuską przemywa szyję a twarz kropi tylko różaną wodą. Wiadomo — płeć delikatna ordynaryjnej wody nie znosi. Po otarciu ręcznikiem, płatek umaczany w wódce z białkiem wybiela skórę, a okład z tartych migdałów czyni ją miększą niźli aksamit. Ale dziś — nic z tego, niema czasu. Dziś po umyciu, pani zanurza łabędzik w bielidle i powleka równo twarz, szyję, gors i ramiona cienką warstwą marmurowej białości. Potem płatkiem barwiczkowym, zwilżonym larendogrą, kolisty rumieńczyk maluje „juste sur la pommette". Pendzelkiem w czernidle maczanym kreśli przedziwnej gładkości linję brwi. Drugi pendzelek nurza w błękitnidle i maluje żyłki na skroniach i rękach, co niezwyczajną transparencję skóry ma oznaczać. W tej oto amelce brunatny proszek. To proch z kwiatu róży polnej, służy ku przyciemnianiu powiek i rzęs. A teraz puder — ale jaki? W tem rzecz i kłopot cały. Paryski prawdziwy, po 700 tynfów garść niewielka. Jakiż dziś wybrać kolor — chamois, różowy czy biały, albo agatowy. Doprawdy rozważyćby to trzeba i poradzić się. Więc panny dają swe wota. A tu już i fryzjer nadchodzi i czasu niema, więc niech już będzie różowy.

Oto mistrz w lansadach wbiega i w wytwornym ukłonie się zgina. Charmant. Doprawdy, niemasz jak Francuzi. Co za dystynkcja, co za wdzięk i dar konwersacji jaki. I to w człowieku nawet podlejszej kondycji. I zręczność jaka. W godzinę albo dwie i za dukatów sześć uwieńczy głowę tupetem na $^{3}/_{4}$ łokcia wysokim — jak koroną. Na wieży z drutu naciągnięte włosy lśnią jedwabiście. Jeszcze warstwa pudru jak puch lekkiego i mistrz akkomodując się, w ukłonie zgięty odchodzi.

Wraz ruszyły się panny, dotąd po kątkach wtulone a z wielkiem podziwieniem mistrzowi na ręce patrzące. Biegają, podają, jakoby ołtarz stroiły. Niesie jedna koszulkę cieniuśką, z gorsem szlareczką zdobnym. Pani, za parawan złoty w obrazki cudnie malowany wszedłszy, pudermantel zrzuca i koszulkę lekko, ostrożnie wdziewa, by koafiury Boże broń nie uszkodzić. Pończoszki białe wiąże podwiązką ze wstęg jedwabnych i zapina na klamrę brylantową. Na koszulkę wdziewa gorset jedwabny fiszbinami nadziany, iżby talję obciskał mocno i gors podpierał.

Tak równiutka, prościutka a w pasie cienka wychodzi, a panny tymczasem otwarłszy naoścież drzwi, wniosły ze szatni rogówkę. Spódnica to była z płótna, na trzech obręczach z wielorybich kości obszyta, na jednej w pas, na drugiej w kolano, na trzeciej w pół łydki, kształtem do wanny obszernej podobna. Na gorsecik przyszła spódniczka lekka, materjalna, falbanami strojna a na to rogówka. Na rogówkę zaś włożyły panny robron aksamitny, wiśniowy. Przy gorsie był bawet blondynami szyty. Takoż rękawki do pół łokcia. Robron miał siedm garnirunków. Pierwszy był z galonu litego, drugi z wężych główek, trzeci z piórek ptaków zamorskich, czwarty z kwiatów misternych paryskich, piąty z frendzli bullionowych, szósty z kokardek białych, siódmy od góry — ze sznurków w zygzak.

Pośrodku gotowalni stanęła pani wielka i strojna nad miarę. Aliści jeszcze nie całkiem gotowa. Podała jej panna jedna trzewiczki haftowane srebrnemi blaszkami, na korkach wysokich też haftowanych. Sprowadzone były z Drezna. Z zamczystej skrzynki dobyła pani klejnotów przeróżnych i wpięła gdzieniebądź, jakoby odniechcenia. Więc na tupecie, na bawecie koronkowym przy gorsie, we fałdach robronu. Na szyi łańcuch złocisty zawiesiła, na palce pierścieni nadziała. A zausznice, gdyby gruszki dwie od kamieni drogich kapiące, wpięła w uszy. U pasa zawiesiła na klamrze złotej zegarek wielce osobliwy, kuranty co godzinę samogrający. Do-

piero się też panny dziwiły, dziwiły i niby sroki zleciały się a schyliły nad tym cudem.

Potem podały pani karło, aby usiadła. Wtedy to jedna panna z drżeniem wielkiem a trwogą wpięła w tupet fontannę piór strusich na $1/2$ łokcia wysoką. Co gdy zręcznie uczyniła pani pochwaliła ją mile. Jeszcze obłoczek pudru przydano twarzy i podano pani puzderko z muszkami. Znowuż narada, gdzieby dziś ten płateczek jedwabiu czarnego umieścić. Tak, aby podniósł płci białość i wdzięku przydał twarzy, a wspaniałości stroju nie uchybił. Bo to umieszczenie muszki wymowę swoją ma i znaczenie. Na wardze znaczy — całuska, na nosku — śmiała, na brodzie — wabiąca, na gorsie — zuchwała. Dziś jednak najlepiej będzie na policzku, co oznaczać będzie panią uprzejmą.

Pokojowiec pana puka i prosi panią. Kareta czeka, czas jechać. Więc ostatnie spojrzenie w zwierciadło rzuciwszy, pani wachlarz w rączkę bierze. Wachlarz nie bylejaki. Wyhaftowane na nim całe polowanie Augusta III pod Marymontem. Tak, kosztuje też to cacko grosza niemało, a służy ku ozdobie i — ku wygodzie. Można zwiniętym wachlarzem dać znak tajemny — komuś — co w drugim końcu sali znaku tego czeka. Można skryć za wachlarzem uśmiech, rumieniec, szept cichy albo i ziewnięcie. I można rozwinąć go ruchem nagłym i rozbłysnąć rzęsiście przed zazdrosnem okiem rywalki. Można — więc pani krótkiem skinieniem wachlarza żegna panny schylone w ukłonie i przez otwarte szeroko podwoje spływa na schody, wielka, wspaniała, jak kwiat nadmiernie rozwity.

ROK 1931. Panią budzi telefon. Hallo — to ja — przypominam o tennisie — partja o 8-mej — dowidzenia. Pani wiesza słuchawkę — rzut oka na zegarek. 7-ma. Skok do łazienki. Pyjama frunęła w powietrze. Tusz. Natrysk ciepły. Natrysk zimny. Wytarcie. Razem 5 minut. 5 minut gimnastyki. Twarz. Okładzik gorący. Okładzik zimny. Opukanie kremem. 10 minut. Ręce i t. d. Mydło, woda, krem. Razem z manicure 5 minut. Dyskretny maquillage, obłoczek pudru, przyczesanie czuprynki, 5 minut. Pończoszki, sportowe buciki, jedwabna combinaison, paseczek z podwiązkami, suknia sportowa, sweter, baskijka, rękawiczki. Razem 10 minut. Rakieta do ręki i pani mówi: zamknijcie za mną drzwi. Godzina 7·40, pani poszła na tennis.

JANINA OSIŃSKA

HENRYK BALK

SIWA ŚMIERĆ OBYWATELSKA

Juljanowi Tuwimowi

Siwa śmierć obywatelska,
tłustość opasłego cielska,
cisza, pantofle pluszowe,
poduszka włóczkowa pod głowę
haftowana w kwiaty różowe
gołębie białe skrzydełka,
porządek niezaprószony,
szuflady, pudła, pudełka,
tam brzytwy, tu mydełka,
powiększona fotografja babki,
pamiątkowe sarnie łapki,
serwantka z porcelaną,
gazetka z kawusią rano,
pokój w złote paski, kwiatki,
połysk mebli ślicznie gładki,
grupa — wspomnienie matury,
słoiki, konfitury,
leksykonu złote brzegi,
kałamarz — ten od kolegi,
pianina żółte zęby,
album klasycznej muzyki,
chrobot myszki, zgrzyt zegara,
much o szybę senne bzyki,

a w fotelu, w czarnych miteńkach,
drutami oczka łapiąca
— każdy rzut się dotąd udał —
babuleńka stara — nuda.

MARJAN POPPER

TROPIKI

Adamowi Styce

Morze jest słońcem skrajane — jak szkliwo,
Niebieską emalją prześwieca;
Po grzywach piasku złocistą oliwą
Przelewa się nagość kobieca.

Jest w tem radość ogromna i zachwyt,
W nogach utkwionych w niebie,
Gdy smukłą stopą można słońce nakryć,
Promienny przesiewać grzebień.

Po piasku ją ciągnij, przez zaspy miałkie,
W szmaragdową ją zepchnij głębię,
By się w źródlisku ruchliwym wałkiem
Wściekle musiała zakłębić.

W wodzie przekręcić, radośnie powikłać,
Pod brzuchem poczuć fal rozmach,
Ramiona mocne opuszczać jak śmigła,
Gorzki całować posmak.

A potem za nią! W szumiący skocz kożuch,
Przez plecy zgarnij od polewy lśniące,
By ją wyrwawszy spienionemu morzu,
Kremową osuszać pod różowem słońcem.

„SPÓR O SIERŻANTA GRISZĘ" A. ZWEIGA

W TEATRZE ROZMAITOŚCI

SIERŻANT GRISZA, jeniec rosyjski w niewoli niemieckiej — to prosty, szary, dobry człowiek, człowiek z masy. Spór o sierżanta Griszę to spór o jego życie, o życie tego prostego, szarego, dobrego człowieka, człowieka z masy. Grą losu rzucone w tryby wojny — tego piekielnego mechanizmu, który z pokuszenia zła wymyśliła wyobraźnia człowieka, lecące jak ziarno piasku po osobliwych transmisjach ludzkiej siły duchowej kształtującej świat, przez dni wirujące rozpaczliwie na wirze, który je wreszcie wchłonąć musi — okazuje się to życie jednostki najwyższą wartością, najświętszem jej prawem, najbardziej namiętnym głosem instynktu. W obliczu sprawy, czy jeden człowiek żyć będzie czy nie, mierzchnie cały sens pozaosobisty i ponadosobisty istnienia ludzkiego.

Tęsknota za domem, żoną, dzieckiem pokazała Griszy drogę do ucieczki z niemieckiego obozu koncentracyjnego. Spotkawszy dezerterów z rozkładającej się armji rosyjskiej (1917 r.), dla bezpieczeństwa przybrawszy nazwisko jednego z nich, który zdezerterował — do grobu, zostaje schwytany i pod zarzutem szpiegostwa, skazany na śmierć. Skazany, jako dezerter Bjuszew. Dowód, że jest Griszą czyni wyrok bezprzedmiotowym. Ale dla logiki sprawiedliwości — dla generała von Lychow. Dla militarno-politycznej racji stanu, do pedagogiki „odstraszającego przykładu" generała kwatermistrza Schieffenzahna — jest prawomocny i zostaje mimo oporu, mimo protestu, mimo jawnej absurdalności, wykonany. — Arnold Zweig deklaruje się, jako indywidualista i humanitarysta Rollandowskiego pokroju. I dla tej deklaracji umie pozyskać współczucie czytelnika i widza. Ponad emocjonalną reakcją musi jednak wyróść u niego refleksja — o zasadniczej sprzeczności współczesnego czasu, który z całą żarliwością broni praw indywidualizmu, jednocześnie w wielu kierunkach, w wielu nastawieniach przepiera uniwersalistyczny punkt widzenia, podporządkowujący każdą rację osobniczą, racji ogólnej. Tego konfliktu, tych intelektualnych wątpliwości, które z dręczycielskim uporem nie odstępują dzisiejszego człowieka, humanitaryzm Zweiga — idealistyczny, bezkompromisowy, sentymentalny, nie zna zupełnie. Jest religijnie ortodoksyjny. I dzięki temu ton najgłębszego przekonania płynie ze słów jego dramatu, ma znaczną siłę sugestji, porywającą we wzruszenie, przez moment trwania niezmącone żadną przymieszką logicznych zastrzeżeń. I to jest niewątpliwy sukces artystyczny. Sukces ten uznać należy nawet wbrew środkom, jakiemi zostaje osiągnięty: wbrew przeciągniętej melodramatyczności, jednotonności uczuciowej, jednolitej, makabrycznie ponurej tonacji, która trwa ciągle, akompanjuje słowom mówionym i dziejącym się faktom. Wruszeniowe poddanie się widza zdaje się tu być osiągnięte pewnym uporem, pewnem nadużyciem środków. — Podobnie trochę wątpliwe jest ułożenie proporcyj zła i dobra w poglądzie Zweiga. Według niego ludzie są dobrzy, złe jest tylko to, co robią, co się z nich poczyna. Całe środowisko dramatu — żołnierze i oficerowie „Ober-Ostu", niemieckich oddziałów przyfrontowych w okolicy Mińska i Brześcia Litewskiego — ma jako większość poczucie absurdu, ohydy, zbrodniczości spraw stających się i dokonywanych, a jednak nie buntuje się, nie zrywa więzów. Tragizm świata byłby tragizmem bierności, bezwładu tkwiącego w złem. Dlatego tak logicznie konieczny, tak nieodpornie wynikający z nastawienia widza był akcent buntu, protestu tu, na ziemi, a nie jak mówi wskazówka reżyserska: „w kantynie Kosmosu". Nakoniec ludzie Zweiga, taki: von Lychow, „generał z biblją w kieszeni", czy por. Wilfried, nie mają pełnej siły przekonywającej.

Tak czy owak „Spór o Griszę" należy do ciekawych utworów współczesności, jest jednym z dokumentów głęboko ją wystawiających. Dramat o tym tytule jest bezwątpienia słabszy od powieści. Wynika to już z stosunku następczości: instynkt pisarski nakazał przejście od dramatu do powieści, poszukując wszechstronnie odpowiadającego wypowiedzenia. Powieść cechuje szeroki epizm, rozlewna, naturalistyczna opisowość, daje ona przekrój o ogromnej ścisłości, szczegółowości i bogactwie odtworzenia typu, nastroju przyfrontowego życia. Wersja dramatyczna w formalnym charakterze zalicza się do rodzaju faktomontaży, usiłuje wielolitością scen, pokrewną technice kinowej metodą synchronistycznego ukazywania zdarzeń dziejących się w tym samym czasie w rozmaitych miejscach, dać nieuproszczoną, nienagiętą do jednolitej konstrukcji pełnię życia czy fragmentu życia. Z tem wszystkiem ma braki poważne, choćby w rozwlekłości ekspozycji, nadmiarze refleksyjności, nieoszczędności czasu dla szczegółów nieistotnych. Wynikają one nietyle z natury formy scenicznej, która jest praktycznie możliwa i teoretycznie dająca się obronić, ale z natury organizacji pisarskiej. Stąd nawet interpretacja sceniczna Schillera nie zdołała przekonać o konieczności, o celowości wszystkich pociągnięć konstrukcyjnych. W granicach braków tkwiących w samej rzeczy przyniosła znowu świetną robotę: wydobyła, zaakcentowała jednolitość tonu, wyposażyła go w potężną siłę ekspresji, umiejętnie obliczyła i zharmonizowała efekty muzyczno-wokalne. W tym kierunku szła też praca dekoratorska Daszewskiego. Jego dekoracje uproszczone do granic najwyższej celowości, dekoracje, jakby współgrające, w stylu malarskim szły nadto po linji dobywania — trochę banalnie określając — „duszy materjału", jego charakterystycznych właściwości. Na tej drodze uzyskane zostaje ekspresyjne spotęgowanie rzeczywistości bez odstępstwa od realistycznego założenia. Wogóle obecna forma sceniczna Schillera w świetnem uzgodnieniu z współpracą dekoratorską Daszewskiego stwarza nowy styl, nowy typ, który naogół mało jest dostrzegany, mało doceniany, jako rewelacja nowej praktyki formalnej teatru. Nadmiernie, a jak często symplistycznie i opacznie interpretuje się działalność Schillera w zakresie repertuarowym. Nie dość się podkreśla, że na naszych oczach coraz głębiej, coraz wyraziściej konkretyzuje się niebyła dotąd forma teatralna, w założeniach, w świadomości realizacji wyprzedzająca inne sceny polskie.

Wykonanie aktorskie należało do jednego z nienagannych, doskonałych przykładów gry zespołowej t. j. takiej, w której rzecz idzie o całość, nie o detal wykonawczy, nie o popis solowy, ale możliwie jednolitą, uzgodnioną orkiestrację wszystkich interpretujących tę samą treść instrumentów odtwórczych. W tym zakresie niema też nadmiaru zrozumienia, że to stanowi nieporównanie wyższą sztukę indywiduów, wyższą pracę reżyserską i wyższą wartość sceniczną, niż popis „gwiazdy" na tle chaosu, zaciemnienia, braku poczucia odpowiedzialności całej reszty aktorów. Mimo swego typu dramatycznego — „Grisza" stanowi jedną z okazowych demonstracyj tej gry poza jednym czy dwoma wyjątkami. *Strachocki* w roli tytułowej stworzył jedną z najlepszych kreacyj swego repertuaru. Zwłaszcza momenty prostoduszności, naiwności, filuterności chłopskiej natury — wychodziły świetnie. Przestrzegałbym natomiast artystę przed monotonnym tonem lirycznym, który zawlókł się aż tu z jego kreacyj romantycznych i brzmiał tak obco w scenie opowiadania snu. Obok Griszy — rolę o znakomitem wyczuciu typu, dał *Krasnowiecki*, jako von Lychow. Bodaj najlepsza z wszystkich kreacyj jego w tym sezonie. Pendent ujemne do niego stanowił *Guttner*, osłabiający grą swoją — świetną scenę spotkania Lychova z Schieffenzahnem. Resztę niech obejmie wspólna pochwała: dobrego rozumienia intencyj reżysera.

TYM. TERLECK

ROLA MUZYKI W ŻYCIU KOBIETY WCZORAJ A DZIŚ

III. WSPÓŁCZESNA PEDAGOGJA MUZYCZNA

Wychować nowego człowieka do racjonalnego słuchania muzyki, której przeżywanie aktywne wzbogacić ma jego życie wewnętrzne, jest może najważniejszem zadaniem nowoczesnej kobiety na polu pedagogji muzycznej. Na tem polu leżą nieobliczone wprost możliwości jej działania, bądźto gdy danem jej jest przygotowywać do tych przyszłych zadań teren duchowy u swych własnych dzieci, bądź gdy jako pedagog poświęca się zawodowo tej tak bardzo odpowiedzialnej pracy. U nas specjalnie traktowana jest — z małemi wyjątkami — zawsze jeszcze pedagogja muzyczna w sposób nieodpowiadający wymogom współczesności. Oczywiście nie mówi się tu o tych wyjątkowych jednostkach, o tych pedagogach nielicznych, zarówno praktycznych, jak i teoretycznych, którzy stojąc na czele zawodowego szkolnictwa muzycznego, mającego na celu szkolenie wyłącznie sił fachowych, korzystają pełną miarą z dobrodziejstw nowoczesnej wiedzy i techniki, ale o tych niezliczonych, szarych masach pedagogów, których zadaniem jest poprostu przygotować młodzież do zrozumienia tego z czem się później w życiu spotyka, w sali koncertowej, operowej, czy wreszcie przy detektorze radjowym. Zadanie to jest o wiele, wiele ważniejsze, aniżeli się to naogół przyjmuje. Nie kto inny bowiem, tylko właśnie te szare masy kobiet pedagogów urabiają zmysł i smak dla muzyki u młodzieży, w wieku, w którym umysł jej jest dla tej pracy najbardziej podatny, i w którym ona może rozstrzygnąć o całej w tym kierunku przyszłości.

Nie idzie tu już o organizację samą szkolnictwa muzycznego, która jakkolwiek wchodzi u nas obecnie na nowe tory, zawsze jeszcze zbyt małą uwagą darzy tę najliczniejszą przecież część młodzieży, nie poświęcającą się studjom fachowym, ale o sam zakres i formę tej nauki. Ponieważ cel jej jest — jak powiedzieliśmy już powyżej — przedewszystkiem praktyczny, a to przygotowanie młodzieży do zrozumienia tego, z czem się później w życiu spotyka, główną więc wagę powinien pedagog położyć na to, by dać dziecku możliwość przeżywania i zrozumienia jak najbardziej licznych i różnych kategoryj muzyki, by wcześnie już stworzyć mu jak najszersze horyzonty. W dzisiejszej epoce napotyka ten tak prosty na pierwszy rzut oka postulat u nas specjalnie na znaczne trudności. Życie muzyczne ostatnich dziesiątek lat, w których dokonały się dalekonośne zmiany w zakresie estetyki muzycznej, nie podążało u nas zawsze tempem, analogicznem do tempa krajów zachodnich, gdzie wykuwały się w międzyczasie nowe ideały i nowe środki. Nie posiadaliśmy i nie posiadamy i dziś jeszcze — z wyjątkiem jednej Warszawy — warunków sprzyjających rozwojowi nowoczesnej kultury muzycznej. Najboleśniej zaciężyły tu lata wielkiej wojny światowej, w których stosunki nasze z Zachodem rozluźniły się do reszty, przerywając i tak już niezbyt bezpośredni kontakt z jego twórczością muzyczną ostatniej doby. Że zaś w międzyczasie i tempo życia wzrosło w sposób, dotychczas nieznany, a co za tem idzie rozwój nowoczesnej twórczości muzycznej przeszedł w ostatnich właśnie dziesiątkach lat zmiany bardzo radykalne, przyniosło to ze sobą stan zupełnego niemal osamotnienia i obcości naszego społeczeństwa w stosunku do wszystkiego, co jest wykwitem kultury zachodniej tych lat ostatnich. I tu znowu poszkodowane zostały nietyle sfery muzyków zawodowych, które dzięki swym wyjątkowym predyspozycjom i wykształceniu łatwiej i szybciej zdołały nawiązać kontakt z Zachodem w epoce powojennej, ale w pierwszym rzędzie szersze masy t. zw. inteligencji. Odarte ze swych dawnych ideałów romantycznych, z któremi zżyły się od lat i z któremi im było tak dobrze, a których dzisiejsza epoka już nie rozumie, znalazły się one nagle bez drogowskazu w obliczu nowych ideałów, i bez tej moralnej pomocy w zrozumieniu tych ideałów, którą daje bezpośrednie zżycie się z sztuką epoki sobie współczesnej. W muzyce, która niestety nie trafia sama do umysłu słuchacza, ale potrzebuje pośrednictwa całego, nieraz mocno skomplikowanego aparatu odtwórczego, kontakt ten był niemożliwy tam, gdzie nie było i niema stałej orkiestry symfonicznej i stałych zespołów kameralnych, dozwalających na sygnalizację każdego nowego prądu, każdego nowego wartościowego dzieła.

W ten sposób stanęliśmy w rozwoju muzyki nowoczesnej na epigonach Wagnera, zrzadka tylko uchylając rąbka zasłony, kryjącej dla nas tajemnice rozwoju muzyki nowoczesnej. Rokująca jak najpiękniejsze nadzieje działalność „Młodej Polski" w muzyce, w skład której wchodzili ludzie tej miary, co Różycki, Szymanowski i Grzegorz Fitelberg, próbowała przełamać już przed dwudziestu pięciu laty ten mur wzajemnego niezrozumienia, zbliżając muzyczną twórczość polską do wzorów Zachodu. I te usiłowania jednak zbyt rychło zostały przerwane, by trafić mogły do szerszego ogółu. Cały kierunek zwany impresjonizmem muzycznym, ogniskujący się w powagnerowskiej generacji francuskich muzyków z Debussy'm († 1918 r.) na czele, oraz skupiający w Niemczech swe siły ekspresjonizm muzyczny, pozostał dla nas prawie że terra incognita. A była to epoka w historji muzyki nowoczesnej choć krótkotrwała, lecz niezmiernie ważna, był to okres przekwitania ostatecznego haseł romantyzmu i równoczesnego kiełkowania ideałów „Nowej Rzeczowości" w muzyce. Okres ostatnich prób w kierunku zrealizowania syntezy muzyki z poezją w dramacie muzycznym i muzyce t. zw. programowej, stanowiących główny teren działania muzyki romantycznej, wraz z równocześnie dokonywającym się zwrotem w kierunku muzyki t. zw. „absolutnej", a więc uznającej samowystarczalność treści i środków wyłącznie muzycznych jako jedyną istotę wszelkiej muzyki. Nie posiłkowanie się normami estetycznemi i formami wyrażenia się z zakresu innych rodzajów sztuki, ale oparcie się na treści i formie, muzyce właściwej, stanowi punkt centralny nowej estetyki muzycznej, kierunku zwanego przez analogję do sztuk plastycznych, „Nową Rzeczowością". Forma i technika muzyczna stanęły tu pośrodku zainteresowań tej nowej twórczości muzycznej, ale forma i technika z gruntu zmieniona w stosunku do muzyki klasycznej i romantycznej, bo opierająca się na nowym systemie muzycznym, przynoszącym ze sobą nowy typ melodyki i harmoniki. System ten nosi nazwę w przeciwstawieniu do dawnego systemu tonalnego — systemu atonalnego, niweczy on wszelkie związki centralne, stanowiące ostoję w słuchaniu dawnej muzyki, a na ich miejsce stawia pewne nowe struktury formalne jako podstawę architektoniki całości, które jednak nie odrazu dochodzą do świadomości słuchacza, wychowanego na muzyce tonalnej.

Wynika z tego, że wprowadzenie w istotę i ducha współczesnej twórczości muzycznej wymaga u nas specjalnego przygotowania i wyszkolenia, którego pedagogja dawnego typu dostarczyć nie jest wstanie. Opierała się ona bowiem zbyt jednostronnie na muzycznym systemie tonalnym, t. j. na tym, na którym wyrosła twórczość klasyków i romantyków, a więc Haydna, Mozarta, Beethovena, Schuberta, Chopina, Liszta, aż do Wagnera. Uczyła rozumieć język, którym przemawiają ci kompozytorowie, tak samo, jak znajomość języka ułatwia zrozumienie treści napisanego w tym języku dzieła literackiego, ale pozostawiała nieuwzględnioną nietylko najnowszą twórczość muzyczną, ale też i całą twórczość wcześniejszą, aż do klasyków, której podstawy techniczne nie mieszczą się bez reszty w ich systemie tonalnym, przedewszystkiem cały tak bogaty, a zamknięty w sobie świat twórczości muzycznej średniowiecza i ludów egzotycznych. Uprzystępniano dotąd zatem młodzieży tylko małą cząstkę tych źródeł rozkoszy artystycznej w muzyce, nietylko zresztą w pedagogji. Cała nasza kultura muzyczna była — jak to już zaznaczyliśmy powyżej — równie jednostronnie nastawiona: pedagogja muzyczna nie odczuwała potrzeby rozszerzenia swych horyzontów w obliczu jednostronnie zakrojonej dotychczasowej praktyki.

Dziś wraz z gruntu zmienioną formą naszego życia zewnętrznego zmieniła się zasadniczo i rola szerokich mas w całokształcie kultury muzycznej. Zewnętrzne warunki oddalenia od centrum tej kultury, trudności nawiązania bezpośredniego kontaktu, a nawet braku należycie usprawnionych ciał wykonawczych, nie odgrywają dziś roli wobec cudownego wprost udoskonalenia muzyki mechanicznej i usprawnienia rozgłośni radjowych. Każdy, kto ma dobrą wolę i zainteresowanie w tym kierunku, uczestniczyć może w poważnych koncertach symfonicznych i kameralnych, w których wykonane są arcydzieła zarówno muzyki historycznej, jak i najnowszej pod dyrekcją największych dyrygentów i ze współudziałem pierwszorzędnych solistów. Niestety okazuje się, że liczba tych ludzi, pragnących uczestniczyć w tego rodzaju audycjach, jest u nas znikomo mała; dowodzą tego aż nazbyt wyraźnie ankiety radjowe i „Skrzynka pocztowa" Polsk. Radja, będące sprawdzianem upodobań szerszej publiczności. Ta publiczność nie chce po prostu słuchać muzyki poważnej, zwłaszcza współczesnej, bo jej nie rozumie. I tu właśnie jedynie tylko racjonalna reforma pedagogji muzycznej uzdrowić mogłaby te smutne stosunki. W tym celu musiałaby ona oczywiście spełnić szereg postulatów, któremi zajmiemy się w artykule następnym.

Dr STEFANJA ŁOBACZEWSKA

OBYWATELKA NAJMŁODSZEJ REPUBLIKI

Hiszpanja z monarchji stała się republiką. Jest to fakt dokonany. Przemiana odbyła się szybko, spokojnie, bez gwałtów, bez rozlewu krwi i bez tragedji. Król się usunął, partja republikańska wzięła rządy w rękę — i po wszystkiem. Odnosi się nawet wrażenie, że z jednej strony nie było nieutulonego żalu, za tem co być przestało, a z drugiej — zbytniego entuzjazmu dla tego co jest. Zupełnie tak samo, jak po zgonie kogoś, kto długo, nieuleczalnie chorował i na czyją śmierć jedni czyhali, inni się jej obawiali — a wszyscy byli na nią przygotowani. Wiedziało się, że ta śmierć nastąpić musi, tylko nie wiadomo było kiedy. Wiedziało się, że monarchja hiszpańska jest beznadziejnie skazana na zagładę, tylko trudno było przewidzieć, kiedy koniec nastąpi. Można było jedynie przypuszczać, że to się stanie znacznie wcześniej. Okazało się jednak, że monarchja hiszpańska miała twardy żywot. Zawdzięczała to usposobieniu swoich poddanych. Nie mieli serca dobić jej jednym zamachem. Czekali, aż skończy na uwiąd starczy. A może nietylko nie mieli serca, lecz poprostu nie umieli. Ten naród, polityкujący namiętnie, wkłada tyle sił w ideę i słowo, że mu jej już nie starczy na czyn. Czyn — bywa tam raczej wynikiem okoliczności, niż rezultatem bezpośredniego impulsu.

Nie mam zamiaru zastanawiać się nad tem, w jaki sposób młoda republika hiszpańska wpłynie na tok wypadków natury politycznej. Interesują mię bardziej zmiany, jakie ona niewątpliwie wytworzy w życiu obyczajowem, a zwłaszcza w życiu kobiet hiszpańskich.

Dotychczas, Hiszpanka mało ulegała prądom nowoczesnym i brała bardzo skromny udział w ruchu feministycznym. Nie znaczy to, aby nie było w tym kraju jednostek, lub poszczególnych grup, garnących się do tego ruchu. Takie jednostki i takie zrzeszenia istnieją, lecz ogół kobiet stoi na stanowisku bardzo wstecznem, tak pod względem intelektualnym, jak i społecznym, a nawet towarzyskim. Hiszpanka — sposobem myślenia, zakresem pragnień i trybem życia, zbliża się znacznie bardziej do kobiety Wschodu, aniżeli do europejki.

Wpływy Maurów przetrwały w Hiszpanji w dwóch rzeczach: w architekturze i w ukształtowaniu życia kobiecego. To życie jest dotychczas jak najciaśniej spowite przedwiekowemi tradycjami, które podtrzymuje świat męski i opinja publiczna, uważając je za sprzyjające cnocie i spełnianiu obowiązków żony i matki, a przeciętna Hiszpanka nie czyni sama żadnych wysiłków, aby się wydobyć z powijaków; prawdopodobnie, nie dolegają jej zbytnio. Te wszystkie czynniki, poparte siłą atawizmu, wytworzyły typ kobiety, mającej bardzo mało cech współczesnych.

Hiszpanka żyje przedewszystkiem w domu — i wychowanie jej nie jest niczem więcej, jak przygotowaniem do tego domowego życia. O ile jednak np. w Niemczech — gdzie w pewnych środowiskach dom także zamyka w sobie całą treść kobiecej egzystencji — wychowanie idzie w kierunku utylitarnym i praktycznym — to znaczy, że przysposabia kobietę do intensywnej pracy w tym domu, — o tyle w Hiszpanji ma ono charakter raczej negatywny i ogranicza się na odebraniu kobiecie wszelkiej chęci i inicjatywy, do poznania tego, co się dzieje poza granicami jej własnego gniazda, bez nakładania na nią jakichś specjalnych obowiązków, zużytkowania swoich sił, w obrębie tego gniazda. Dlatego też domowe życie Niemki jest niezmiernie pracowite — a Hiszpanki, zupełnie bezczynne. Nikt od niej nie wymaga owego ustawicznego krzątania się, owej zapalczywej dbałości o czystość i porządek, owych kucharskich upodobań, jakie charakteryzują Niemkę; nikt nie stara się o wyrobienie w niej rozmiłowania do gospodarstwa i wzorowego prowadzenia domu. Jeśli materjalne stosunki na to pozwalają, czynności tego rodzaju wykonuje służba, jeśli zaś te warunki są skromne, to pani domu spełnia je sama, lecz tylko o tyle, o ile ostateczna konieczność tego wymaga.

Jeden jest tylko rodzaj obowiązków, które nauczono Hiszpankę uważać za święte — obowiązki matki. Pod tym względem stawia jej się wymagania bardzo daleko idące, które ona — trzeba przyznać — z całem poświęceniem wypełnia. O ile ideałem niemieckim jest „eine gute Hausfrau" — o tyle ideałem hiszpańskim jest „una buena madre" (dobra matka).

Oczywiście, że w naszem pojęciu spełnianie roli matki na sposób hiszpański nie jest wystarczające. Ta rola ogranicza się bowiem do ponoszenia wszystkich naturalnych konsekwencyj macierzyństwa, oraz do prawie wyłącznie fizycznego wychowania dziecka — zwłaszcza gdy chodzi o chłopców. I inaczej być nie może. Ignorancja Hiszpanki w sprawach życiowych jest tak wielka, jej wykształcenie tak nikłe, horyzonty tak ciasne — że ona sama kwalifikuje się raczej na pupilkę, aniżeli na kierowniczkę młodych umysłów. I w tej właśnie połowicznej roli matek tkwi jedna z przyczyn dużego zacofania w wychowaniu hiszpańskiej młodzieży.

Hiszpanie chlubią się zazwyczaj murowaną cnotą swoich żon. Trzeba przyznać, że o ile niewierność małżeńska mężczyzn jest w tym kraju — niemal regułą, o tyle u kobiet nie należy ona istotnie do rzeczy codziennych.

Na przykładne życie Hiszpanki jako żony składają się różnorodne przyczyny. Przedewszystkiem, nie jest ona koniecznie ową ognistą kobietą, ową demoniczną Carmeną, owem stworzeniem skleconem ze zmysłów, kaprysów, porywów, pasji i zazdrości — za jaką ją cudzoziemcy zazwyczaj uważają. W ośmiu wypadkach na dziesięć — jest to sobie otyła pani, dobroduszna, leniwa i wygodna — która ledwie może podołać swoim małżeńskim obowiązkom i nie ma najmniejszej ochoty rozszerzać te obowiązki poza ich legalne granice. Następnie — jest ona istotą głęboko wierzącą. Wykonywa skrupulatnie wszystkie praktyki religijne, a sumienie jej znajduje się stale pod kontrolą spowiednika. Złamanie wiary małżeńskiej budzi w niej grozę — i religja chroni ją najpewniej od popełnienia błędu.

Pozatem sposób życia Hiszpanki daje jej bardzo mało sposobności do zdrady. W przeciwieństwie do innych krajów europejskich, gdzie konwenanse są łagodniejsze dla kobiet zamężnych niż dla panien — mężatka w Hiszpanji jest właśnie pozbawiona wszelkiej swobody. Nigdzie sama nie wychodzi — w nieobecności męża — mężczyzn nie przyjmuje, chociażby to byli nawet krewni; otacza się dziećmi i rodziną — i nie ma poprostu możności zetknięcia się z obcym mężczyzną, bez asysty. W życiu towarzyskiem jest stale w cieniu, bo na pierwszy plan wysuwają się młode panny, które odbierają hołdy i gromadzą wokoło siebie rój wielbicieli. Pod tym względem Hiszpanja wyprzedziła resztę Europy. Bo kiedy u nas istniały jeszcze czasy, gdy w salonie królowały tylko mężatki a panienki kryły się jak trusie po kątach, w Hiszpanji właśnie te panienki wodziły rei w towarzyskiem życiu i korzystały ze stosunkowo dosyć daleko idącej swobody. I trzeba przyznać, że tego rodzaju obyczaje, z pewnego punktu widzenia, są najzupełniej zgodne z logiką. Jeśli swoboda ma koniecznie być jednostronną, to raczej należy udzielić jej kobiecie wolnej, aniżeli tej, która należy do męża.

Nie trzeba sobie jednak wyobrażać, że hiszpańska swoboda odpowiada temu, co my pod tem określeniem rozumiemy. Jest ona tylko małą furtką, przez którą może się przecisnąć młody człowiek, aby z panienką porozmawiać, stojąc pod jej oknem, co trwa nieraz godzinami i czemu się nikt nie dziwi. To okno jest zaopatrzone grubą kratą, przez którą zamienia się spojrzenia, uścisk dłoni, a nawet pocałunki. Dostąpiwszy tych zaszczytów, młody człowiek otrzymuje oficjalną nazwę novia. „Novio" jest czemś w rodzaju narzeczonego, ale niekoniecznie takiego, który się musi żenić. Nieraz uprawia on te wędrówki pod okienną kratę miesiącami, a nawet latami, — i sprawa się kończy na niczem. W domu panienki nie bywa, chyba wtedy, gdy małżeństwo jest rzeczą postanowioną. Czasami nawet nie zna jej rodziców. Dla kobiety zamężnej okno jest miejscem zakazanem, do którego może się zbliżyć tylko wówczas, gdy chce popatrzeć na Boży świat, — i gdy pod niem nikt nie stoi.

Znałam mężatki, młode, piękne, urocze, które tygodniami nie wychodziły z domu — chyba do kościoła. W takiem życiu zamiera dusza, ale za to budzi się tusza. Trzydziestokilkoletnia Hiszpanka — to zupełna matrona.

Kobieta w Hiszpanji nigdy nie żyje samotnie i samodzielnie. Jako młoda panienka przebywa oczywiście w domu rodziców; jeśli nie wyjdzie zamąż, a rodziców zabraknie, opiekują się nią krewni. Gdy nie ma krewnych — wstępuje do klasztoru.

Rozwody nie istnieją. Kobietę separowaną spotyka się rzadko; wraca ona do rodzinnego domu, nie odzyskując jednak panieńskiej swobody. Przeciwnie, musi dbać o pozory jeszcze bardziej niż mężatka, bo inaczej znajdzie się łatwo poza towarzyskim nawiasem.

Wpływy klerykalne odgrywają w życiu kobiety olbrzymią rolę. Spowiednik ma decydujący głos, nietylko w kwestjach sumienia, lecz także w sprawach życiowych.

Stosunek do mężczyzny jest oparty na zupełnej zależności. Trzeba jednak przyznać, że Hiszpan — mimo notorycznej skłonności do poligamji — o żonę dba, rodzinę ceni, za kobietę czuje się odpowiedzialny i nie zostawi jej nigdy — czy to będzie żona, czy matka, córka, siostra, a nawet daleka krewna — bez opieki i bez środków utrzymania. Może dlatego Hiszpanki tak lekceważą niezależność i tak cierpliwie znoszą więzy, z których się europejska kobieta dawno wydobyła.

RITA REY

WYSTAWA ZWIĄZKU ARTYSTEK POLSKICH

ZWIĄZEK ARTYSTEK POLSKICH — to nie żadna grupa wyrosła na podłożu wspólnego programu artystycznego — to nie związek bojowy walczący o ten lub ów kierunek twórczości w imię uzgodnionych założeń, dróg i celów — ile raczej zrzeszenie zawodowe artystek oddanych sztukom plastycznym, jako pracy zawodowej. Z tego powodu wystawy Związku zwykły przedstawiać wielką i barwną niejednolitość i rozmaitość — zwłaszcza w sposobie ujmowania i rozumienia zjawisk artystycznych, jak również i w sposobach technicznego ich ujmowania. Ogólnie powiedziećby można, iż kobiety w znacznej mierze ustosunkowywać się zwykły do sztuki w sposób wyraźnie refleksyjny — jakby celowo unikając zdradnej i zawodnej bezpośredniości — niosącej zarody niepokoju — gwałtownych wzlotów, ale równie i silnych upadków. Nie znaczy to bynajmniej, by tak pojmowana sztuka nie miała w sobie cech, mniej lub więcej wyrazistych, współczesności — lub, by wobec wszystkich jej problemów niepokojących zajmowała negatywne stanowisko — tylko wyrażać je zwykła w sposób bardzo umiarkowany i zrównoważony, bez wszelkiej bojowej szorstkości i gwałtowności.



Wanda Korzeniowska — „*Pustelnik*" (drzeworyt)



Marja Berezowska — „*Orcio na wakacjach*"

Skutkiem tego na wystawach Związku nie widać obrazów mogących wywoływać zdziwienie lub oburzenie, burzących (bezskutecznie na szczęście!) podstawy dotychczasowych pojęć o sztuce — natomiast w starannie dobranych dziełach uderza poważne i rzeczowe ustosunkowanie się do sztuki.

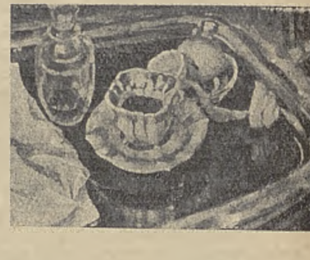
W ramach obecnej wystawy pomieszczono większe kolekcje obrazów *Marji Chybińskiej, Daniel Kossowskiej Stefanji, Rosenfeld Kamili i Rychter Janowskiej Bronisławy* — a więc o nich najpierw parę uwag.

Marja Chybińska — całą twórczością swoją tkwi w minjaturze portretowej — wskrzeszając tem samem szacunku godną i tak piękną sztukę, której cios zadała fotografja. Minjatura wymaga niesłychanej pewności i subtelności rysunku, nie mówiąc już o bardzo drobiazgowej, czystej i niezawodnej technice. Każda plama barwna musi osadzać się odrazu na właściwem miejscu — w kość słoniową wsiąka poniekąd barwa—stąd najdrobniejsze uchybienie pozostaje — niszcząc bądź rysunek, bądź koloryt. Przyznać należy, iż w tej dziedzinie artystka porusza się pewnie i swobodnie — jej minjatury tchną życiem i prawdą.



S. K. Daniel (Stefanja Kossowska) „*Z lusterkiem*"

W inny zupełnie świat szerokich plam i zharmonizowanych barw, świateł i cieni prowadzą płótna *Daniel Kossowskiej.* Jako problem malarski pociąga ją przedewszystkiem ciało kobiece pełne subtelnych refleksów naturalnych, potęgowanych niejednokrotnie blademi refleksami szat przejrzystych, zwiewnych, jedwabnych, poprzez które przeziera zgaszona karnacja ciała, bądź naświetlających ledwo dostrzegalnym nalotem ciała. Jest w tem coś z artystycznej igraszki, przyobleczonej jednak w taką ilość umiejętności technicznej, że każdy obraz ciekawi, budzi refleksje, lub ciekawe odsłania zagadnienia. Niezaprzeczenie nie jest rzeczą łatwą po Weissie coś nowego i ciekawego w tej mierze powiedzieć! Czarno-biała twórczość *Kamili Rosenfeld* (tusz, piórko, rysunek!) lubuje się w odtwarzaniu objektywnej formy architektury lub przyrody. Drobiazgowość szczegółów a nadewszystko ich nieuproszczony nadmiar szkodzi niejednokrotnie wrażeniom ogólnym, nie skupiając uwagi widza na zagadnieniu głównem, tworzącem punkt wyjścia danego rysunku. Jest jednak w tem wszystkiem tak wiele zapału, że wprost niepodobieństwem dla artystki jest rozumowe i celowe rozwiązywanie pewnych problemów.



Marja Dolińska — „*Martwa natura*"



Aniela Czarnowska — „*Przedmieście*"

Wielostronna i bogata twórczość *Rychter Janowskiej Bronisławy* posiada znane i uznane wartości, zaczem zbędne obszerniej je omawiać. Wytworna artystka antycznych salonów, starych dworków, pejzaży, szafirowych mórz i architektur szuka prawie zawsze barw nasyconych, rozżarzonych w promieniach słonecznych — dla tem wyraźniejszego kontrastu podkreślanych smugą cienia. Całość stapia się w harmonijne zespoły barwne, celowo i umiejętnie rozkładane kompozycyjnie na równoważące się bryły.



Zofja Albinowska-Minkiewiczowa — *Serduszka*

Poza temi wystawami zbiorowemi cały szereg dzieł artystek przeważnie lwowskich. Na czoło ich stanowczo wybija się twórczość *Zofji Albinowskiej-Minkiewiczowej,* tak wysoce artystyczna i kulturalna, zarówno w doborze umiłowanych wnętrz, kwiatów i martwych natur, jak i ich technicznem odtworzeniu. Bardzo ciekawie rozwija się talent *Anieli Czarnowskiej,* której pejzaż miejski wykazuje pełne wartości konstruktywne w nastrojowości przechodzące aż do tragizmu. Rysunek i plamy uproszczone, rzucane celowo i łączone w jednolite, zgodne zespoły, świadczą o dynamice rozwijającego się talentu.

W pełnym rozwoju jest również twórczość *Marji Dolińskiej* oraz *Janiny Nowotnowej,* z których zwłaszcza ta ostatnia wystąpiła tym razem z doskonałemi drzeworytami. Doskonale przemyślane drzeworyty wystawiła również *Wanda Korzeniowska* oraz *Józefa Kratochwila-Widymska* (litogr. kol.) — Osobne miejsce zajmują doskonałe i żywe studja olejne *Julji Berezowskiej* — traktowane naogół jako bardzo umiarkowane impresje, jak również prace *Heleny Lang, Marji Niedzielskiej* i *Marji Podlewskiej.* Żałować należy, że tak oryginalny talent jak *Marja Opolska* wystawił tym razem tak mało



Marja Chybińska — „*Na wiejskiem poddaszu*"

mówiącą martwą naturę, a przecież to artystka pierwszorzędnej miary!

W sferę ciekawego eksperymentu dekoratywnego prowadzą projekty *Marji Hablińskiej-Mglejowej*, świadcząc o sumiennem studjum grafiki i minjatury wschodu, brak im jeszcze pełniejszego oblicza kompozycyjnego. Impresjonizmowi hołdują pejzaże i martwe natury *Jadwigi Gałęzowskiej* i *Marji Hausnerowej*, nie wykraczając jednak poza granice przedwstępnych studjów.

Pełny wyraz natomiast osiągają akwarele *Julji Smolkówne*j — występującej dotychczas jako rzeźbiarka. Jej widoki architektonicznych zabytków, ujmowane bardzo ciekawie i nieszablonowo — posiadają taką czystość i przejrzystość barw wodnych, że odrazu widać, iż rozmieszcza je odrazu bez wszelkiej korektury ręka sprawna, kierowana bystrą obserwacją artystyczną. To jest prawdziwa i zwycięska wirtuozja.

Oto plon salonu wiosennego Związku artystek polskich. Szkoda, że brakło w nim całego szeregu artystek lwowskich mogących i mających dużo ciekawego do powiedzenia w malarstwie, rzeźbie i sztuce stosowanej.

STANISŁAW MACHNIEWICZ



PROFESOR ERYK P. KELLY

AMERYKAŃSKI PRZYJACIEL POLSKI

Kiedy w roku 1925 profesor Eryk Philbrook Kelly przybył do Krakowa jako pierwszy wymienny profesor Fundacji Kościuszkowskiej — był to już drugi jego pobyt w Polsce. Po raz pierwszy znalazł się profesor Kelly u nas w fatalnym roku wojny bolszewickiej jako członek amerykańskiej akcji humanitarnej przy armji Hallera. Za drugim pobytem okoliczności były już, na szczęście, inne: prof. Kelly studjował na uniwersytecie krakowskim język i literaturę polską. Równocześnie zaś z wrodzoną, a u Amerykanina rzadką subtelnością w odczuwaniu rzeczywistości minionych wieków, zagłębił się w badania nad historyczną i kulturalną spuścizną Krakowa. Owocem niezwykle sumiennych studjów w bibljotekach Krakowa, owocem zasłuchania się w szept przeszłości w czasie długich przechadzek po starych ulicach dawnej stolicy, w cieniu wiekowych budowli, była — rzecz dziwna — nie jakaś sucha rozprawa o architekturze czy zabytkach, nie studjum jakieś historyczne, ale coś daleko żywotniejszego: była nią powieść dla młodzieży, osnuta wokół jednej z najpiękniejszych i najbardziej bezpośrednio przemawiających tradycyj polskich, wokół hejnału krakowskiego z wieży Marjackiej. Tytuł książki brzmi: **The Trumpeter of Krakow, a tale of the XV-th century Krakow** (Trębacz krakowski, opowieść o Krakowie XV-tego wieku), **Macmillan, New-York, 1929.**

Trębacz uzyskał nadzwyczajne powodzenie w Stanach Zjednoczonych: przyznano mu złoty medal jako najlepszej książce dla młodzieży. Tem samem znalazła się ona na półkach wszystkich bibljotek szkolnych w Stanach, a opowieść o Krakowie XV-tego wieku stała się znana całym zastępom młodzieży amerykańskiej, wśród niej dzieciom naszych emigrantów, które mówić po polsku już nie umieją.

W jakiemże świetle, z jakiej strony ukazuje prof. Kelly młodzieży amerykańskiej Kraków, a z nim społeczeństwo polskie XV-go wieku? Ukazawszy nam najpierw miasto w ogólnej, wspaniałej panoramie murów ochronnych i gotyckich wież, odsłania potem przed nami jego życie już nietylko jako stolicy Polski, ale jako „wielkiej międzynarodowej stolicy Wschodu i Zachodu". Rozsnuwa mianowicie przed nami imponujące sceny wielkiego targu owych czasów, kiedy to, za rządów Kazimierza Jagiellończyka, stary Rynek krakowski od wylotów ulic aż po gwarne Sukiennice roił się tłumem kupców ze wszystkich stron przybyłych, odzianych w stroje wszelkich barw i krojów, wplatających w polszczyznę wyrazy najrozmaitszych języków, za towary płacących pieniądzmi wszelkich narodów.

Obok Krakowa piętnastowiecznego, jako ogniska handlu między Wschodem a Zachodem, Kraków jako siedziba uniwersytetu i centrum nauki znajduje w książce pełny wyraz: Przesuwają się przed nami profesorowie Almae Matris — obok ogólno-europejskiej postaci alchemika rysuje się na tle murów Bibljoteki Jagiellońskiej szlachetna, czysto-polska sylweta Świętego Jana Kantego, a przygodny mowca uliczny obwieszcza po łacinie tłumowi żaków nową naukę, znacząc schyłek scholastycyzmu.

Widzimy więc, że tło historyczne i kulturalne powieści zarysowane jest ostro, żywo i z wielką prawdą. Na niem rozgrywa się właściwa akcja powieści, spleciona z dwu wątków. Jeden, to tajemnicza i emocjonująca historja pogoni za skarbem, za niezwykle pięknym kryształem o magicznych własnościach, którego każdorazowego posiadacza prześladuje tajemniczy nieprzyjaciel. — Drugi wątek, to historja hejnalisty krakowskiego, którego codzinna pieśń wydzwania od wieków nieprzerwanie rytm codziennego życia temu miastu kościołów i historji.

A zatem powieść profesora Kelly'ego ma wszelkie walory doskonałej powieści dla młodzieży: przykuwającą uwagę, w szybkiem tempie toczącą się akcję, bogate tło historyczne i kulturalne, plastykę opisów, wybitną barwność i żywość opowiadania. Dla nas zaś ma to nieocenione znaczenie, że ukazuje nas młodzieży amerykańskiej w okresie naszego świetnego rozwoju politycznego, gospodarczego i kulturalnego, że tej młodzieży, która wie o nas niewiele więcej nad to, że zaistnieliśmy znagła po wielkiej wojnie — odsłania dalekie perspektywy naszych wiekowych tradycyj historycznych.

Na tem jednak nie poprzestał prof. Kelly. W roku 1930 wyszła następna jego książka, tym razem stolicę litewskich prowincyj mająca za tło, p. t. **The Blacksmith of Vilno** (Kowal wileński), **Macmillan, New York, 1930.** — Czem dla Trębacza Krakowskiego piękny wstęp, opowiadający legendę o urwanej melodji hejnału, tem tu prolog, podający zwięźle historję unji z Litwą. Nie mogę się powstrzymać od zacytowania (w tłumaczeniu) paru wierszy z tego prologu, podających ogólną charakterystykę Polaków. Prologue, str. XVI: „Na południowym zachodzie... osiedli Polacy, mieszkańcy pól. Stworzyli potężny naród ze stolicą w Krakowie, nad rzeką Wisłą, w cieniu Gór Karpackich i po wielu latach zdołali odpędzić Tatarów od swoich włości. Kraj ich zasobny był i bogaty, ich wojownicy dzielni i waleczni. Ich uczeni w rzędzie najpierwszych w świecie..." Ustępy w tym rodzaju, dla nas tu w Polsce wydające się czemś całkiem naturalnem, w Stanach Zjednoczonych, dla których jesteśmy krajem bardzo odległym i osądzanym według najnędzniejszej warstwy emigrantów — są w swym tonie głębokiej życzliwości stwierdzeniem o nas prawdziwie rzadkiem; wypowiedziane zaś przez usta rodowitego Amerykanina, nabierają znaczenia pierwszorzędnego świadectwa. Palącą potrzebę takich świadectw i wartość przysługi jaką świadczy nam prof. Kelly głosząc je w tak popularnej formie powieściowej, ocenią najlepiej może ci, co nieraz odpowiadać musieli na pytania najżyczliwiej nawet usposobionych cudzoziemców.

Akcja Kowala Wileńskiego jest może jeszcze bardziej awanturnicza i w jeszcze szybszem rozwija się tempie niż w Trębaczu, ale też i o większą stawkę chodzi: o klejnot nie mniejszy, niż korona królów polskich, którą po upadku powstania, w r. 1832, sprzysiężenie wtajemniczonych uwozi do Wilna przed pościgiem cara, pragnącego ją zdobyć. Przesuwają się przed nami stare, pełne uroku uliczki wileńskie, cele klasztoru Bazyljanów, święty ołtarz Ostrej Bramy, podmiejska kuźnia z ukrytym pod nią w lochu składem amunicji, aż wreszcie wraz z koroną dostajemy się do prawdziwego litewskiego boru, w którym odkrywamy tajemne przedwieczne szlaki, wiodące bezpiecznie przez bagna i wykroty do samego serca lasu, a tam — natrafiamy niespodzianie na starożytną pogańską świątynię Perkuna, zapomnianą przez wszystkich, służącą za schronienie zabłąkanemu żołnierzowi armji Napoleona. Tu korona zostaje powierzona należącemu do bractwa poecie, który rusza z nią dalej w świat, i zapewni jej bezpieczne ukrycie; gromadka zaś jej innych obrońców, uchodząc prześladowań policji carskiej, znajduje przytułek na ziemi francuskiej.

Tak wygląda w najogólniejszym skrócie bogaty, mnóstwem dramatycznych epizodów ożywiony wątek powieści. Nić głębokiego symbolu przewija się przez niego: korona królów polskich oddana pod straż poecie — to niby niepodległy duch narodu, wieszczom oddany w opiekę. Myśl ta snuje się od motta, za które prof. Kelly obrał słowa profesora Romana Dyboskiego (cytuję w tłumaczeniu): „Literatura ocaliła Polskę w wieku dziewiętnastym, w dwudziestym może zostać powołana, by ocalić całą Europę" — aż do poetycznego epilogu, w którym pod winietą przedstawiającą popiersie Mickiewicza wśród jego najważniejszych dzieł — pomyślmy, w książce dla młodzieży amerykańskiej! — wykazuje rolę poezji, a zwłaszcza „Pana Tadeusza" w warunkach życia narodowego Polaków.

Niewyczerpana wyobraźnia, żywość i potoczystość opowiadania, różnorodność i — polskość typów ludzkich — oto zasadnicze zalety książek prof. Kelly'ego o dwóch stolicach dawnej Polski. Najbliższem jego zamierzeniem będzie rzecz o trzeciem grzędu mieście polskiem, o Lwowie z czasów ostatnich walk.

Ale największym urokiem, dla czytelnika tak polskiego jak cudzoziemskiego, pozostanie w tych książkach głębokie zrozumienie i gorące odczucie życia polskiego. Jest to odczucie — sercem. I dlatego tem bardziej szlachetnemu przyjacielowi Polski z za oceanu — jesteśmy wdzięczni!

MARY PAT

O malowaniu portretów kobiecych



Tym razem było nas trzech. Terlecki, Waśkowski i ja. Oprócz nas było w Zakopanem jeszcze kilkanaście tysięcy osób, których jednak ze względu na szczupłość miejsca nie wymienię.

Przedstawiam szlachetną trójkę P. T. Publiczności: Terlecki — chudy literat, Waśkowski — gruby mistrz palety i ja... Mój zawód? — Hańbiący, przeto o nim zamilczę. Powiem tylko, że zapowiedziana przez ministra Matuszewskiego obniżka poborów urzędniczych spędza mi sen z oczu.

Tymon Terlecki i ja mieliśmy już zaszczyt ujawnić na łamach „Świata Kobiecego" zalety naszych dusz i intelektów. Przypuszczamy, że piękne, w każdym razie sympatyczne, Czytelniczki uważają nas za swoich starych i dobrych znajomych. Usuwamy się tym razem w cień, żeby pozwolić zabłysnąć trzeciemu muszkieterowi.

Wacław Waśkowski, słusznie tak zwany z powodu swego nazwiska, jest wybitnym znawcą Zakopanego. Zna każdą dziurę, jak własną przewiewną kieszeń, z Giewontem jest na ty, a każdy prawie mieszkaniec, czy gość Zakopanego — to jego były, aktualny lub przyszły wierzyciel.

Zawsze mnie to zastanawiało, dlaczego Rząd, który ma takie trudności z uzyskaniem pożyczki, nie zaangażuje tego człowieka do pertraktacyj ze sferami finansowemi. Jest to mistrz w zaciąganiu kredytów. I to jak korzystnych! Długoterminowych, bezprocentowych i bezzwrotnych. Jeżeliby to kogo dziwiło, że mistrz cieszy się w tych warunkach nieuszkodzonem uzębieniem, — krótko wyjaśnię, że na unieszkodliwienie nietaktownego wierzyciela posiada niezawodny sposób: w chwili mianowicie, gdy doprowadzony do ostateczności pożyczkodawca wyciąga rewolwer, mistrz rozkłada nieodłączną kasetę i słodko robi następującą propozycję:



— Machnę panu portrecik. Twarz pańska posiada tyle znamion klasycznego piękna, jest tak oryginalna i bogata w treść, że byłoby zbrodnią wobec sztuki nie utrwalić jej na płótnie.

Po namalowaniu portretu nieszczęśliwa ofiara transakcyj kredytowych wpada w czarną rozpacz, bowiem uświadamia sobie stratę pieniędzy, zaś w portrecie zyskuje dokument genealogiczny, stwierdzający ponad wszelką wątpliwość, że jego praprzodkiem był pithekantropos.

W każdym razie dług zostaje umorzony, a oto tylko przecież mistrzowi chodziło.

* * *

Mistrz Waśkowski uczył nas patrzeć na Zakopane. — Kolor — powiada — to jest wszystko. Obojętne czy Tatry są z granitu, marmuru, piaskowca, gliny, czy proszku Dra Oetkera, — grunt, że to wszystko gra miljonem nazwanych i nienazwanych barw. Że się ciągle zmienia. Że każde spojrzenie chwyta nowe obrazy.

Zresztą, nietylko góry i inne akcesorja górskiego terenu były przedmiotem podziwu mistrza. Oto dowód:

Idziemy sobie w słońcu i błocie jakąś boczną uliczką Zakopanego. Nagle, Waśka staje, jak wryty. Krzyk:

— Stójcie, patrzcie.

— Co się stało? — pytamy.

— Widzicie?

— Co?

— To.

— Gdzie?

— Tam.

— Nic nie widzimy.

— Jakto? No, — to.

— Co? Tę skorupę zbitego półmiska?

— No tak. To załamanie światła. Tę harmonję barw. Ach, gdybym ja to miał!

— Nic prostszego — powiadam.

Wyciągam z błota skorupę i wręczam mistrzowi.

Reakcja nieoczekiwana. Pomijam ból fizyczny. Ale to czyszczenie spodni doszczętnie zabłoconych na skutek zetknięcia z butem mistrza!

I to za dobre serce!

* * *

Ale mieliśmy mówić o malowaniu portretów kobiecych.

Obaj z Terleckim zazdrościmy lekarzom, że mogą badać kobiety, i malarzom, że mogą malować kobiety. Właściwie, ja jestem czysty i niewinny, ale Terlecki.

— Taki lekarz — powiada — jakgdyby nic zamyka się sam na sam w gabinecie i najspokojniej w świecie mówi do pięknej pani: proszę się rozebrać i położyć na kanapie. Albo taki malarz. Udowodni, że dobro sztuki wymaga odsłonięcia ziemi obiecanej i patrzy się potem na to bezkarnie przez kilka godzin. — Ach, gdybym to ja mógł — wzdychał Terlecki.

A Waśkowski uśmiecha się ironicznie i twierdzi, że nie lubi malować portretów kobiecych.

— Z powodu? — pytamy ze zdumieniem.

— Bo twarz kobieca, to jest właściwie nic.
— Wolisz skorupę, idjoto. Co?
— Jak kiedy. Ale zważcie. Twarz kobieca to jest gładka i równa pustynia, na której niema ani drzewa, ani krzewu, ani niespodzianek terenu, ani rozpadlin, ani wogóle. Co innego twarz męska. Tu zawsze znajdziesz: albo brodawkę, albo łysinę, albo jakąś bruzdę, szramę, skrzywienie, guz, czy coś w tym rodzaju. To jest rozmaitość. To daje wyraz i to tworzy oryginalność i bogactwo formy. A barwy. Mężczyzna zawsze jeżeli nie ma czerwonego nosa, to przynajmniej oczy, jeżeli i to zawiedzie, to znajdzie się czerwona krecha, spowodowana zacięciem się przy goleniu. Weźmy dalej wąsy. Sumiaste, krzaczaste, śpiczaste, — czarne, siwe, rude. Co za bogactwo! A broda. Jeżeli nieogolona — dobrze. Jeżeli ogolona — jeszcze lepiej. Cała skala barw: bezpośrednio po ogoleniu sino-niebieskawo-szara, później z każdą godziną ciemniejsza, dochodząca wreszcie do stanu, przypominającego młody zagajnik lub łan dojrzałego zboża. Stanowczo twarz męska jest malarsko ciekawsza.

W tem miejscu pomyślałem: szkoda, że Waśka nie zna mojej cioci Kloci: miałby i brodawkę i wąsy i czerwony nos i inne specjały malarskie.

Pozatem — ciągnął dalej nasz przyjaciel — z mężczyzną znacznie mniej kłopotu. Sadzam gościa na fotelu i spokój. Siedzi trzy godziny i ani drgnie. Wypali 20 papierosów, dwa razy tyle na jego koszt wypalam ja i portret gotów. Potem poczciwina spojrzy na płótno, powie głęboką trafną uwagę: hm, hm — i sprawa załatwiona.

Niewiasta — przedewszystkiem godzinę targuje się w co się ubrać. Koniecznie chce mieć gołe ramiona. Koniecznie musi pozować w tej akurat sukni, ponieważ w tej właśnie najwięcej ją lubi pan Henryk lub pan Zbigniew. Potem wybór interesującej pozy. Potem kręcenie się i wiercenie. Stałe zaglądanie za stalugi. Uwagi: — Ależ ja mam stanowczo większe oczy. — Och, w tem skrzywieniu ust nie wydobył pan właściwej mi słodyczy uśmiechu. — Przedewszystkiem ogromnie mnie pan postarzył. — Zupełnie nie jestem podobna. I t. d., i t. d.

— A niech to djabli porwą — zakończył Waśka.

* * *

Mieszkały w naszym pensjonacie, nazywającym się niewiadomo dlaczego „Mołodów", dwie panie. Matka z córką. Córka miała lat 20. Matka była starsza o kilka lat od córki, którą powiła w 35-tym roku życia. Obie zamówiły portrety. Obie zgłosiły postulaty. Córka, — modna i współczesna, — powołała się na Witkiewicza i zastrzegłszy, że jej na podobieństwie i młodości zupełnie nie zależy, żądała tylko żeby w portrecie było „to nieuchwytne coś". Matka, — właśnie żeby było podobieństwo i żeby jej nie postarzeć.



Mistrz zabrał się do dzieła, zapowiedziawszy, że damy będą mogły obejrzeć portrety dopiero po skończeniu.

Tutaj muszę dodać, że córka była podobna do matki, oczywiście uwzględniając proporcje wieku.

Gdy portrety były gotowe, mistrz zaprosił damy do obejrzenia dzieł. Ja z Terleckim asystowaliśmy przy tej uroczystości. Portrety były zrobione dobrze, przecharakteryzowane — ale podobieństwo uderzające. Lecz tutaj zaczyna się komedja. Pani mama stanęła przed portretem córki, pani córka przed portretem mamy. Pani córka, patrząc na portret matki, który bez wahania uznała za swój, rzekła z zadowoleniem, że wprawdzie jest na nim nieco starsza i brzydsza, niż w istocie, ale rozumie, że rzecz jest traktowana w projekcji czasu i że właśnie dzięki temu zostało wydobyte „owo nieuchwytne coś". Mama, anektując portret córki, westchnęła radośnie bujną piersią i stwierdziła, że mistrz jest wielkim malarzem, bo uchwycił istotne podobieństwo i nie przydał jej ani godziny wieku.

Honorarjum, jakie otrzymał nasz przyjaciel, było tak sute, że świt rozrabiał barwy na palecie gór, gdy wracaliśmy chwiejnym krokiem od Trzaski.

J. CZ.



PIERŚCIEŃ Z SOLITEREM

2)

SKROMNA sukienka różniła ją od stałych klientek, lecz jak one miała wąskie, białe, niezniszczone pracą ręce o długich, zwinnych palcach — palcach stenotypistki; ruchy opanowane i swobodne zarazem; pewną wyniosłość w twarzy podkreśloną lekką zmarszczką u nasady nosa; figurę, jakiej niejedna ze strojnych dam mogłaby pozazdrościć. Cechy, na które Jerzy był najwrażliwszy. I ją porównał w duchu do klejnotów.

— Brylant bez oprawy — pomyślał.

Lecz ten klejnot znajdował się niewątpliwie w okręgu świata, jaki sobie zakreślił. Hanka była maszynistką w domu handlowo-bankowym. Ojciec jej pracował kiedyś w papierni, lecz od czasu, jak zakosztował stanu bezrobotnego, nie kwapił się ze znalezieniem zajęcia, zwłaszcza że „cholerna stagnacja” dawała mu pozór do coraz częstszego zalewania robaka. Brat zajmował się — przynajmniej oficjalnie — odśpiewywaniem na podwórzach ostatnich przebojów przy dźwiękach harmonji. Matka poza pitraszeniem posiłku poświęcała wolny czas oblatywaniu znajomych. Póki ojciec mniej pił a miał stałą posadę, Hanka uczęszczała do szkoły. Coraz cięższe warunki domowe nie pozwoliły jej skończyć nauki. Brat, który zawsze zdradzał niczem nieprzezwyciężony wstręt do książki, już dawno terminował u stolarza, ją postanowiono oddać na praktykę do jakiegoś sklepu. W międzyczasie ciotka, pracująca w Kasie Chorych, namówiła dziewczynę, by nauczyła się pisać na maszynie. Sama, dobrą, ciotczyną ręką zapłaciła wpisowe a potem wystarała się o pierwszą, sześćdziesięcio-złotową posadę i zachęciła siostrzenicę do skończenia wieczornych kursów stenografji i korespondencji. Sześćdziesięciozłotowa posada zamieniła się na stu i stupięćdziesięciozłotową, a Hanka tak umiejętnie potrafiła rządzić się groszem, że — znów przy pomocy ciotki — nabyła okazyjnie maszynę na dogodnych warunkach i zaczęła dorabiać przepisywaniem w domu. Zwiększyły się jednak i ciężary rodzinnych obowiązków. Ojciec, ostatnio dotknięty paraliżem, przestał zarobkować zupełnie, brat porzucił rzemiosło i zaczął wieść żywot niebieskiego ptaka, wyciągając pod różnemi pozorami, niekiedy i groźbą pieniądze od siostry.

Kiedy Jerzy dowiedział się z biegiem czasu tych wszystkich smutnych szczegółów, uzupełnił swe pierwsze wrażenie: — Brylant rzucony w błoto.

Zapragnął go dźwignąć i dać skromną oprawę, na jaką go stać było, skromną, ale złotą — złotej ślubnej obrączki. Nie było to jednak tak łatwe. Na przeszkodzie stanęły trudności natury materjalnej. Przedewszystkiem mieszkanie. O kawalerce nie było mowy. Jerzy chciał, żeby matka jego zamieszkała razem z nimi, chociażby ze względów czysto ekonomicznych, pomijając już synowskie sentymenty. Hanka znów w „kawalerkach” widziała przyczynę częstego rozchodzenia się małżeństw i umiała na poparcie tego twierdzenia zacytować liczne przykłady z życia swych przyjaciółek. Trzeba było wpierw zebrać pieniądze na mieszkanie. Wprawdzie można było znaleźć lokal, wpłacając stosunkowo niewielką sumę zgóry, jako część komornego, lecz były to lokale nowe, nie podlegające ustawie o ochronie lokatorów, a komorne za nie pochłonęłoby całą pensję Hanki. Jerzy zaś nie widział możliwości pozostania jej w biurze po ślubie.

— To ostatecznie będzie dobre na pewien czas jeszcze, na kilka, czy kilkanaście miesięcy, ale zrozum Hanuś, że ja przecież pragnę mieć dom. Skromny, jak najskromniejszy ale taki prawdziwy, jaki miewali ludzie, zanim rozpoczęła się ta przeklęta wojna. Dom, Hanuś. Czy słyszysz? Dom!

W tem słowie kryło się inne, które Jerzy nigdy nie śmiał otwarcie wypowiedzieć. Dom — to znaczyło rodzina, to znaczył syn, któregoby tak pieścił, jak jego pieszczono dawniej, któryby spełnił te marzenia, jakich ojciec się dla siebie już wyrzekł. Hanka dobrze rozumiała te niedopowiedziane słowa i może za nie bardziej go kochała, lecz zdawała sobie sprawę, że te pragnienia komplikują położenie jeszcze bardziej. Pozostawało mieszkanie za odstępne. Lecz nim zbiorą razem potrzebną do tego sumę, upłynie kilka dobrych lat. Wkłady na książeczce P. K. O. rosły systematycznie z miesiąca na miesiąc, lecz nie mieli jeszcze ani połowy. Jerzy musiał utrzymywać matkę, na Hance pasorzytowała rodzina. Zapracowywała się też widocznie coraz bardziej i ich świąteczne spotkania stawały się rzadsze. Tłumaczyła się pracą, jaką bierze do domu. I teraz zaledwie Jerzy zaczął snuć projekty wspólnego spędzenia popołudnia i wieczoru, przerwała mu:

— Niestety, kochany, nic z tego. Mam znowu robotę. Wpadłam tylko na moment, żeby cię uprzedzić i żeby zobaczyć, bobym chyba nie wytrzymała przy maszynie nie widząc cię cały dzień.

— Ależ Hanko, druga niedziela już mija, jak nigdzie nie byliśmy razem.

— I cóż ja poradzę, Jureczku. Wczoraj wieczorem przyniósł mi to administrator naszego domu. Jakiś bilans, czy coś podobnego. Pełno cyfr i zestawień tabelarycznych. Za taką robotę specjalnie się płaci.

— No dobrze. Lecz wszystko ma swoje granice. Pomyśl tylko, dziś święto... W tygodniu widzimy się zaledwie w przelocie, bo ty wiecznie masz to w domu coś do przepisania, to nadliczbówki, to bilanse, to Pan Bóg wie co, przychodzi wreszcie ta niedziela, o której marzę przez sześć długich jak wieczność dni, akurat panu administratorowi czegoś się zachciewa. Czyż nie można tego zrobić trochę później?

— Koniecznie na jutro potrzebne. Płakać mi się chce, ale cóż robić. Gdyby to kto inny, tobym odmówiła. Nie chodzi mi nawet o te pieniądze, choć się zawsze przydadzą. Ale widzisz to administrator. Ma dla nas specjalne względy. Wiesz, że wciąż jeszcze wypłaca się zaległe komorne. Nie mogę zrobić mu zawodu. Do rana nad tem siedziałam i dziś pewnie zarwę nocy, byleby skończyć na czas.

Jerzy przestał nalegać.

— Żeby się to już raz wreszcie skończyło, — zawołał — żebyśmy wreszcie zaczęli żyć jak ludzie. Nie masz pojęcia, jak ja mam dość tego życia.

— Nie więcej ode mnie, na pewno. Czasami mam wrażenie, że czcionki maszyny uderzają wprost w mój mózg. Cały dzień w biurze to przeklęte pukanie, a potem w domu to samo, nieraz do późnej nocy. I gdyby to tylko, lecz wiesz przecie... Ojciec drzemie we dnie a w nocy urządza brewerje, przeklina swoją chorobę, nas wszystkich. Jasiek, włóczy się Bóg wie gdzie, do domu przychodzi jeść lub wyciągnąć ode mnie pieniądze. Coraz częściej wraca pijany. Piekło się robi wtenczas. Wymyślają sobie we troje. Dobrze że się do bicia nie biorą. Ah, mówić już o tem nie warto. A na książeczce niewiele przyrasta — dodała po chwili z uśmiechem. Widzisz, muszę pracować, choćbym nie chciała. Znów się coś odłoży. No, rozchmurz się, Jureczku. Każdy dzień stracony teraz to dzień zyskany dla wspólnego życia później. Okradamy się z chwilowej przyjemności, by przyśpieszyć ten czas, kiedy będziemy należeli do siebie.

Przesunęła pieszczotliwie dłonią po jego czuprynie, a potem rzuciwszy okiem po pustej sali i drzemiącym kelnerze pochyliła się i dotknęła wargami policzka narzeczonego.

— Jurku, wierz mi, że ja jeszczę bardziej tęsknię za

tą chwilą. Ale właśnie dlatego nie wolno mi zapominać o swych obowiązkach. Kończmy kawę i czas zabrać się do roboty. Wolno ci jeszcze będzie odprowadzić mnie do domu. Pięć minut dłużej razem.

GŁOSZONE przez inicjatorów Teatru Ludowego hasło higjeny i wygody dla wszystkich, na codzień nigdzie nie zdawało się chyba być bardziej odległym od zrealizowania ideałem jak w tej właśnie dzielnicy, w którą weszli Jerzy z Hanką po opuszczeniu restauracji. Do kilkupiętrowych kamienic — brudno-żółtawych bloków muru, podziurawionych regularnemi szeregami okien — przypierały wtłoczone w ziemię domki, kryte sczerniałemi, wpółzbutwiałemi gontami. Dalej czerwieniły się budynki fabryczne. Obok niebrukowanej jezdni prowadził wąski chodnik; tafle asfaltu spękały i powykręcały się kapryśnie; miejscami brakowało ich zupełnie. Przed bramami stały grupki kobiet, dla których ulica była stałem miejscem zebrań i pogawędek. Jerzy widział, jak w każdej z tych grupek za jego zbliżeniem się rozmowa nagle zaczynała ożywiać się, języki pracowały szybciej. Przez dwa lata nie przestał być sensacją dla tych kumoszek. Działało mu to na nerwy, jak cała dzielnica, jak te nędzne sklepiki, z zaciekniętemi szybami wystaw, przez które widać było tę samą od lat chyba niezmienianą galanterję, pokrytą grubą warstwą kurzu, lub wiktuały, odstręczające samym wyglądem: wędliny na brudnych talerzykach, kawały topniejącego masła, kilka śledzi obsychających na zatłuszczonym papierze, obok garść landrynków i ciastka z zaskrzepniętą brunatnawą masą jakiegoś kremu. Z bram, koło których przechodzili, wiało na niego zatęchłym, wilgotnym chłodem, z otwartych okien suteren buchało ciężkie, zużyte przez ludzkie płuca powietrze, niosąc zmieszany smród starych skór, kleju i niepranych pieluszek, lub ostry odór zjełczałych tłuszczów, świadczący, że w tym domu znajduje się „restauracja III-ciej klasy". Jerzy ze źle pokrywanym wstrętem odwracał głowę, a wtedy w jego nozdrza uderzał fetor gnijących w ściekach resztek, nad któremi siadały rachityczne, naznaczone strupami skrofułów dzieci i patykami rozgrzebywały nieczystości w poszukiwaniu jakiegoś niezwykłego łupu. Od dwóch lat Jerzy chodził temi brudnemi, osypanemi sadzą fabrycznych kominów i cuchnącemi uliczkami. Po kilka razy w tygodniu deptał ten nierówny bruk, czekając nieraz dobrą godzinę na Hankę, zaczepiany bezwstydnie przez ordynarne, obdarte ladacznice, przedstawicielki proletarjackiej prostytucji. Do tak ciężkiej ofiary mogła go skłonić jedynie miłość do Hanki. Lecz czuł, że siły jego są już na wyczerpaniu. Raz wreszcie skończyć z tem wszystkiem. Wyrwać Hankę z tej dzielnicy, z tego środowiska, zapomnieć o niem, jak się zapomina o dręczącym śnie.

Stanęli przed bramą domu, w którym mieszkała Hanka.

— Poczekaj jeszcze chwilkę — prosił, gdy mu podawała rękę.

— Nie mogę, Jureczku, nie mogę, kochany. Już i tak tyle czasu zmarnowałam.

— Chwileczkę tylko.

— Chwileczkę i chwileczkę. A po każdej tem trudniej się rozstać. Pa! Może uda nam się jutro zobaczyć.

— Zatelefonuję do ciebie do biura.

— Przenigdy! — Hanka jakby się przestraszyła. — Mówiłam ci przecież już tyle razy, że szef nie pozwala na żadne prywatne rozmowy biuralistek. Miałabym straszną awanturę. Jeżeli będę mogła, wpadnę do ciebie przed zamknięciem sklepu. Dowidzenia! Puść mnie! Pa! — Przesłała mu z mrocznej sieni ręką całusa od ust i wbiegła na schody.

Jerzy stał chwilę zapatrzony w mrok, w którym zginęła ukochana, poczem szybkim krokiem zaczął wracać do miasta. Biegł prawie. Byle prędzej, byle prędzej wydostać się z tej okropnej dzielnicy.

II

MIESZKANIE GLICÓW — tak nazywali się rodzice Hanki — składało się z kuchenki, ciasnej i zupełnie mrocznej, gdyż okno wychodziło na mur sąsiedniej kamienicy, ledwie o metr odległy, i z dwóch niewielkich pokojów. Pierwszy z nich służył równocześnie za jadalnię i sypialnię rodziców. Stosownie do tego podwójnego przeznaczenia stały w nim przy wewnętrznych ścianach dwa łóżka z buczyny, naśladującej mahoń, takiż kredens — wszystko to jeszcze wyprawne pani Wawrzyńcowej, — wpośrodku stół przykryty starą, spękaną już ceratą, kilka stołków i fotel, niedawno na tandecie kupiony, z którego spodem wyzierały sprężyny i kłaki waldharu. W fotelu siedział mężczyzna przeszło pięćdziesięcioletni, tęgi, o twarzy nalanej, pokrytej szarą szczeciną niegolonego dłuższy czas zarostu. Był to Wawrzyniec Glic, ojciec Hanki. Obok, na stole stała wypróżniona butelka i szklanka z resztką brunatnego płynu, w którym tylko chemiczna analiza zdołałaby wykryć ślady herbaty. Glic od pół roku przykuty paraplegią do fotela, był przekonany że go „zawiało", a — na zawianie — zwykł mawiać — niema nad herbatę z rumem. — Kurował się tedy nader chętnie tą kombinacją, a przypisując widać większą wartość leczniczą alkoholowi, niż herbacie, w miarę jak ubywało płynu w szklance, skrupulatnie dopełniał ją rumem po brzegi. W tej chwili zdawał się drzemać, lecz kiedy Hanka, wracająca ze spotkania z Jerzym, weszła do pokoju, dźwignął nabrzmiałe powieki i mruknął w przeciągłem ziewnięciu:

— Przyszłaś?

— Ojciec spał? (C. d. n.) STEFAN ESSMANOWSKI

(Dok.)

O WYZYSKANIU PORY LETNIEJ DLA ZDROWIA

Przy basenie będą zakłady lecznicze i urządzenia sportowe na ogromną skalę, wzorowo urządzone. Całość otoczona jest tężniami solankowemi, które powietrze nasycać będą rozpyloną solanką, i stanowić będzie jedną z **osobliwości Polski**, godną pokazywania cudzoziemcom.

W ziemi **wileńskiej** mamy **Druskienniki**, gdzie też w roku bieżącym dowiercono się nowych, obfitych źródeł solankowych. — Druskienniki słyną ze znakomitych urządzeń do kąpieli pod otwartem niebem i z wzorowo prowadzonego zakładu **kąpieli słonecznych i ćwiczeń fizycznych** na powietrzu **dla dorosłych**. Stanowi to znakomity środek odnowy i wzmocnienia organizmów wyczerpanych całoroczną pracą miejską i przedwcześnie się starzejących.

Śląsk ma zdrojowiska solankowe w **Goczałkowicach**, a zwłaszcza w **Jastrzębiu**, całkiem nowocześnie zabudowanym po wojnie.

Podkarpackie solanki jodowe łączą już zalety klimatu górskiego z leczeniem kąpielowem. Jest to silnie rozbudowana **Rabka**, wyposażona świeżo we wzorowe **sanatorjum** i łazienki solankowe **po pensjonatach**; **Iwonicz**, z dwoma sanatorjami świeżo wykończonemi z pełnym komfortem, i uroczy **Rymanów**. Na Pokuciu leży **Delatyn**, znany ze słonecznego lata.

Polska środkowa ma dwa zdrojowiska **solankowo-siarczane**, **Busk** z wielkiem sanatorjum dla dzieci i **Solec**. Łączą one zalety solanek i siarczanek. — Do tej grupy należy ponadto słynny już dziś **Truskawiec**, posiadający trojakie wody mineralne, w tem sławną „Naftusię" moczopędną.

Wybór, jak widzimy, jest wielki, rozmieszczenie **dogodne**, urządzenia przeważnie już **powojenne**, zupełnie nowoczesne, a najnowsze kreacje **wysoko komfortowe**. Wskazania dla zdrojowisk **solankowych** mają chorzy na reumatyzm, skazę moczową (gicht),

osłabieni ozdrowieńcy, przepracowani, chorzy ze zmianami gruczołowemi, dzieci zołzowate (skrofuliczne), choroby kobiece, następstwa zapalenia nerwów, ischias, a w zdrojowiskach zaopatrzonych w inhalatorja także choroby gardła i tchawicy.

Osobną grupę stanowią zdrojowiska z wodami **słono-gorzkiemi.** Są to wspomniany już **Truskawiec i Morszyn** na Podkarpaciu. Dzięki tym wodom leczy się tam wybornie otyłość, choroby kiszek, lekkie formy cukrzycy i początki sklerozy.

Zdrojowiska **siarczane,** rozmieszczone w **Małopolsce,** dzielą się na grupę krakowską (Swoszowice i Krzeszowice) i lwowską (Lubień, Niemirów i Horyniec). **Lubień** posiada **inhalatorjum radowe, Niemirów** wodę mineralną pitną, silnie **wydalającą** z ustroju **kwas moczowy.** — W siarczankach leczy się przedewszystkiem reumatyzm stawowy i mięśniowy nawet zastarzały, gicht, zgrubienia po złamaniach kości, choroby skóry i kobiece.

Prawie wszystkie zdrojowiska solankowe i siarczane polskie mają ponadto znakomitą **borowinę.** Kąpiele borowinowe stanowią tam najsilniejszy zabieg leczniczy. Inowrocław, Ciechocinek, Lubień i Niemirów mają nieprzebrane bogactwo borowiny, które starczy na setki lat.

Nie należy zapominać, że inhalatorja lub kąpiele **radjoczynne** stanowią również znaczne **wzmocnienie** leczenia i dzięki temu dużo Polaków wyjeżdżało dotychczas za granicę. W roku bieżącym mamy już trzy takie zdrojowiska u nas: **Inowrocław, Ciechocinek i Lubień.**

Z początkiem czerwca zaczyna się wielki sezon w karpackich **szczawach.** Zowiemy tak wody, zawierające wielką ilość **kwasu węglowego,** który działa silnie tak przez picie jak i przez kąpiel. Rozróżniamy w Polsce dwojakie szczawy, żelazisto-wapniowe i alkaliczno-słone. Do pierwszego rodzaju należą wody **Krynicy i Żegiestowa,** do drugiego Szczawnicy i Krościenka. Krynica, słynna dziś z silnej frekwencji letniej i zimowej, wspaniałych nowych łazienek i komfortowych hoteli i pensjonatów, zawdzięcza swój rozwój opiece rządu polskiego (jako własność skarbowa) i wielkim wkładom kapitału **prywatnego.** Po wojnie inwestowano tam kilkanaście **miljonów** złotych, ale też wody krynickie warte są tego.

Oprócz szczaw żelazistych jest tam woda **Zubera,** unikat w Europie, cztery razy silniejsza woda **alkaliczna** od słynnej wody francuskiej Vichy (Grande Grille). Jest ona szczególnie skuteczna przy kwaśnym katarze żołądka, skazie moczowej i cukrzycy.

Niedaleko Krynicy leży **Żegiestów,** który od 2 lat silnie się rozrasta dzięki dowierceniu **nowych źródeł** szczawy, wybudowaniu komfortowego **hotelu i plaży** nad **Popradem,** który daje pyszną górską kąpiel. Kto zna Żegiestów z przed lat pięciu, nie poznałby go dzisiaj w jego nowej postaci; właściciele słusznie mogą się szczycić swemi wysiłkami. **Wskazania** dla szczaw wapniowo-żelazistych są: choroby serca, niedokrewność, choroby żołądka i jelit, skaza moczanowa i choroby kobiece. Oba zdrojowiska mają doskonałą **borowinę** i wszelkie pomocnicze urządzenia lecznicze oraz przepiękne, górskie otoczenie i wygodny dostęp z całej Polski pociągami pośpiesznemi.

Szczawnica, znana ze swych znakomitych szczaw alkaliczno-słonych, wysyłanych na cały kraj, ma wyjątkowo łagodny i ciepły klimat górski oraz wielkie inhalatorjum. Służy chorobom dróg oddechowych i przewodu pokarmowego.

W czerwcu zapełniają się stacje klimatyczne i turystyczne wysokogórskie. W Tatrach prym wiedzie **Zakopane** i przyległy **Poronin,** w Beskidzie śląskim **Wisła** i nowo zabudowana **Istebna,** a w Beskidzie wschodnim **Worochta,** Tatarów i Jaremcze. Obok nich jest całe mnóstwo letnisk pomniejszych. Równocześnie zaczyna się sezon **kąpieli pod otwartem niebem** na polskiem wybrzeżu **morskiem,** którego budowle są wszystkie tworem ostatnich lat i to coraz doskonalszym pod względem komfortu. Gdynia, Orłowo, Hallerowo, Wielka Wieś, Jastrzębia Góra, Jastarnia, Hel oraz szereg pomniejszych roją się od letników. Aprowizacja udoskonaliła się dzięki rozbudowie **Gdyni,** która ma składy i chłodnie. Sieć kolejowa i drogowa ułatwia komunikację; Gdynia ma już lekarzy specjalistów.

Oprócz morza mamy w tym roku już do dyspozycji dwa jakby **„morza wewnętrzne“** w postaci olbrzymich basenów solankowych pod otwartem niebem, a to **w Ciechocinku i Truskawcu.** Zaopatrzone są one w szatnie, natryski i plaże piaskowe, na których spędzać można większość dnia w trykocie kąpielowym. Prócz tego rozwinęły się **plaże nadrzeczne:** w Zaleszczykach i Okopach Św. Trójcy nad **Dniestrem,** w Kazimierzu, Ciechocinku nad **Wisłą,** w Żegiestowie nad **Popradem,** w Druskiennikach nad **Niemnem** i w Kutach nad **Czeremoszem.** Pozatem jest mnóstwo małych plaż **nadrzecznych** o znaczeniu bardziej lokalnem, przedewszystkiem po **miastach** leżących nad rzekami i **letniskach** podmiejskich. Zapał do plażowania wzmógł się w ostatnich latach ogromnie. Podczas gdy dawniej zadowalano się kąpielą rzeczną, dziś wiele osób spędza prawie cały dzień nago nad rzeką. Nie można mieć nic przeciwko temu z punktu widzenia higjeny, jednak pod warunkiem niezaniedbywania **ruchu fizycznego. Bierne** leżenie na piasku w słońcu nie wyrównywa tego uszczerbku, jaki ponosi organizm przez **siedzący tryb** życia w ciągu całego roku pracy. Gry i ćwiczenia są tu koniecznie potrzebne, zwłaszcza dla **dorosłych,** których praca zawodowa trzyma zdala od czynnego udziału w sportach. Osobniki nie całkiem zdrowe powinny też zasięgnąć **porady lekarza,** czy słońcowanie i kąpiel są im dozwolone. Płucno chorzy ryzykują pogorszenie, tak samo chorzy na nerki i drogi moczowe.

Przebywający nad **morzem** polskiem mają wyborną sposobność urozmaicenia sobie lata przez krótkie **wycieczki okrętowe.** Jest to jedyna okazja wyjazdu za granicę bez wywożenia z kraju **grosza.** Na polskim okręcie, bez trudności paszportowych, można odwiedzić wielkie miasta nadbałtyckie: Rygę, Stockholm, Kopenhagę, a nawet pojechać do Londynu lub na fjordy norweskie. Za granicą wydatkuje się tylko na taksówki i wstępy do muzeów. Okręt polski służy za hotel. Wyjazdy **lądowe** zagraniczne bogacą obce koleje, hotele i restauracje, dając nam trud i mitręgę prażenia się w wagonach kolejowych i autobusach. Tak jak **handel** nasz wyszedł na morze, tak i **turystyka** wyjść musi. Podróż morska porą letnią daje niezrównaną kombinację **rozrywki z wypoczynkiem.** Bogate i pracowite narody umieją to ocenić i podróżowanie morskie jest u nich bardzo popularne. Mając **własne** okręty, pędzone własnym węglem, możemy sobie pozwolić na taką turystykę i na odwiedzanie miast portowych, gdzie naszą flagę życzliwie witają i gdzie z nami prowadzą handlowe stosunki z roku na rok coraz rozleglejsze. **Bojkotujmy** kraje gdzie bojkotują nasz **towar, a chcieliby** mimo to eksploatować nasze **portfele** turystów i kuracjuszów. To jest postulat **godności** narodowej i zwyczajnego poczucia interesu.

Powinniśmy także uprzytomnić sobie, że **okrętami** możemy podróżować dla przyjemności i wypoczynku **wewnątrz kraju.** Od Sandomierza aż po Gdańsk stoi nam droga otworem. Jeżeli jazda po **Wiśle** jest dla komunikacji w interesach zbyt powolna, to dla turystyki i wypoczynku jest znakomita. Powolna zmiana krajobrazu i życie na pokładzie, a nawet nocleg w kajucie jest dla celów wypoczynkowych dużo odpowiedniejsze niż podróżowanie koleją. Pośpiechu i hałasu mamy i tak za dużo przez rok cały! Przecież w zachodniej Europie **sfery zamożne** zaczynają stronić już nie tylko od jazdy koleją ale nawet samochodami w porze wakacyjnej. We Francji popularyzuje się wśród tych sfer podróżowanie **konno** i powstają specjalne kluby w tym celu, utrzymujące przy hotelach konie wierzchowe.

Młodzież ma obecnie jeszcze szersze możliwości podróżowania wodą zapomocą **kajaków,** łodzi składanych, dla których większość naszych rzek jest łatwo dostępną. Jest to wspaniały sposób spędzania lata i poznawania kraju, sport bardzo zdrowy i nie natężający.

Z naszkicowanych tu pokrótce uwag widzimy, że mamy **nieprzebraną możność** korzystnego spędzania lata w kraju i na morzu, sposobność leczenia się, podróżowania bez wywożenia grosza za granicę. **Przesilenie** finansowe, które nam dokucza, każe nam tem więcej patrzeć na to, gdzie pieniądze wydajemy. Ucieczka grosza za granicę, to pogłębianie przesilenia; **do tego** nam ręki przykładać nie wolno. Zdrojowiska i letniska nasze zniżają ceny, licząc się ze szczupłością naszej gotówki i potanieniem środków żywności. Korzystajmy z tej sposobności i jeśli **kiedy,** to właśnie w tych ciężkich czasach leczmy się i wypoczywajmy u siebie w kraju.

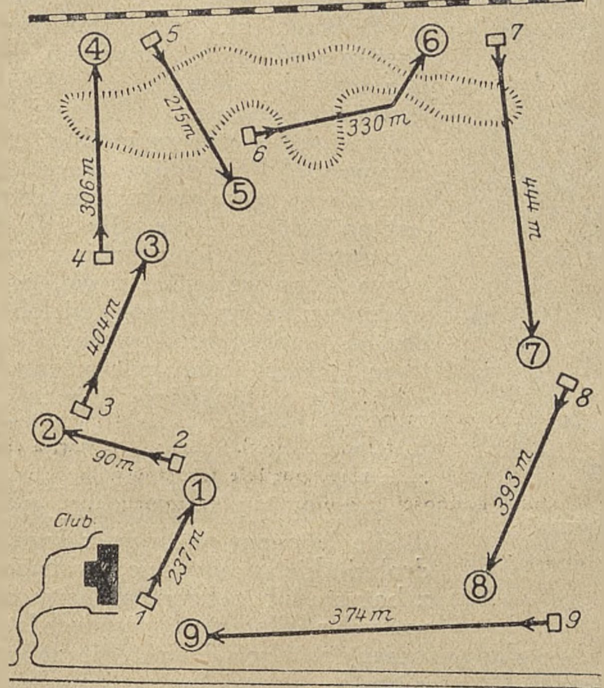
Doc. Dr **A. SABATOWSKI**

SPORT DLA WSZYSTKICH — GOLF

Utarło się przekonanie, że golf, jeden z najbardziej popularnych sportów w Anglji i Stanach Zjednoczonych, jest już ze swego założenia przeznaczony wyłącznie dla starszych panów, lub zblazowanych snobów dbających więcej o dobór krawata i „pump" do golfa, niż o sport jako taki.

Przekonanie to, po bliższem zapoznaniu się z golfem, ulega kardynalnej wprost zmianie. Uprawianie golfa zastępuje właściwie uprawianie kilku sportów. Gra w golfa wymaga, jak to napozór mogłoby się nie zdawać — poza umiejętnością „operowania" kijem: celności oka i ręki, oraz znacznej wytrzymałości. Za podbijaną piłką należy przecież podążać, a jeżeli teren golfowy ma kilka kilometrów długości — wówczas gra przemienia się w intensywny i w dobrem tempie odbyty spacer.

Kobiety w Ameryce, Anglji, czy Francji a ostatnio w Niemczech grają w golfa z niemniejszym zapałem, niż mężczyźni. — W krajach tych istnieją wielkie kobiece kluby golfowe, posiadające terena ciągnące się na wielkich obszarach. I proszę nie myśleć, że golf jest tam sportem uprawianym wyłącznie przez panie z „high-life'u". Zmęczone całotygodniową pracą biuralistki, czy daktylografki, w czasie „week-endu" grają narówni ze studentkami, czy paniami z ziemiaństwa. Grają wszyscy, nawet małe „baby", posiadające swoje miniaturowe kije. Nie ręczyłbym czy nawet, tak typowe dla Anglji żółto-podpalane i krzywołape jamniki, nie grają skrycie w golfa. Wielkie biura i zakłady w Ameryce na terasach utworzonych z dachów drapaczy chmur urządzają dla



Plan terenu golfowego

swych pracownic minjaturowe pola do gry w golfa, granego z zapałem w czasie przerw posiłkowych. W Anglji, a nawet Francji istnieją „profesorowie" wtajemniczający, naturalnie za wysoką opłatą, w arkana wiedzy golfowej. Co więcej, istnieje w Londynie ciesząca się wielkiem wzięciem „szkoła" golfowa, gdzie na specjalnej sali „wykładają" ten przedmiot.

Na dowód mych słów mogę przytoczyć kilka suchych, lecz jakże wiele mówiących cyfr. I tak, w 90-cio kilometrowym promieniu od Nev-Yorku istnieje rozsianych 265 towarzystw i klubów, posiadających terena, których wielkość wyraża się w skromnej cyfrze — 16 tysięcy hektarów!

W Anglji niema miasta, czy miasteczka, któreby nie posiadało swego terenu golfowego. Niektóre nawet miasta posiadają po dwa, lub trzy gminne tereny golfowe, nie licząc terenów prywatnych.

We Francji, Szwajcarji i Niemczech, poza terenami klubowemi, każdy większy hotel stara się mieć własny teren golfowy dla wygody gości.

Tak jest za granicą. A u nas?

Dotąd istnieją w Polsce cztery kluby golfowe w następujących miastach: Warszawa, Lwów, Katowice i Bielsko. Do słabego zainteresowania — poza wspomnianemi już na wstępie względami — przyczynia się również i mniemanie, że sprzęt golfowy jest rzeczą niezwykle kosztowną. Mniemanie to jest również błędne, ponieważ komplet dla jednej osoby kosztuje od 60 do 120 złotych. Odpowiednim strojem dla kobiety grającej w golfa jest sportowy kostjum, półbuciki sportowe na grubych podeszwach i baskijka.

Jeżeli chodzi o teren do gry w golfa — to nadaje się nań doskonale każde większe pastwisko, czy łąka. Inwestycje terenowe polegają na wykopaniu jamek i ewentualnem oczyszczeniu terenu. Również kwestja chłopców potrzebnych do noszenia kijów i po-



Miss Leatrice Joy, championka golfowa, członkini klubu „Movie Star"

magania w wyszukiwaniu piłki jest bardzo prosta. Używani w lwowskim klubie podmiejscy chłopcy, z wielką ochotą i zapałem „brali udział w grze" za minimalną zapłatą, interesując się i zapalając samą grą.

Lwowski Klub Golfowy, jedyna tego rodzaju placówka istniejąca w Małopolsce, liczy obecnie około 15 członków. Sezon sportowy został już w tym roku otwarty, obecnie członkowie grają już 2—3 razy na tydzień. Klub ten bardzo chętnie udziela wszystkich wyjaśnień dotyczących golfa. Zapytania kierować należy do p. W. Smidta, Lwów, ul. Listopada 98.

Gra w golfa może się odbywać nawet w terenie niekoniecznie płaskim (pastwisko, łąka, nieużytek), zwanem „golf-links". Na terenie tym, zależnie od jego wielkości, ma być od 9 do 18 dziur, czyli „holes". Grę zaczyna się na małym kopczyku, skąd gracz specjalnym kijem zwanym „clubs" uderza piłkę w kierunku pierwszej dziury, skąd kolejno kieruje do następnych. Wygrana pozostaje przy graczu, który najmniejszą ilością uderzeń zdołał przejść z piłką poprzez wszystkie dziury. Z każdym graczem idzie chłopiec zwany „caddies", niosący w podłużnej torbie kilka kijów — „clubs". Do gry używa się dwu rodzajów kijów. Jeden rodzaj kija służy do zaczynania gry z kopczyka, drugiego rodzaju używa się kilka kijów, służących do podbijania piłki w terenie. Kijki te są zakończone metalowemi jakby łopatkami, zakrzywionemi rozmaicie. Używa się ich w zależności od falistości terenu.

Piłki są wyrabiane ze specjalnej masy, powleczonej celulozą.

Golf jest sportem dla wszystkich, sportem jednym z najzdrowszych, mogącym być uprawianym przez wszystkich bez względu na wiek i płeć. Uważam, że nasze panie tak z miast, jak i wsi powinny się bezwzględnie zainteresować tym sportem, jako jednym z najzdrowszych i najtańszych.

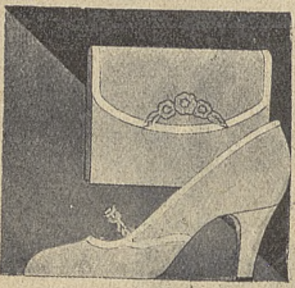
J. RADZIMIŃSKI



Członkowie Lwowskiego Klubu Golfowego w czasie przerwy gry. W pierwszym rzędzie siedzą chłopcy zwani „caddies"

PLOTECZKI O MODZIE

Przeróbki — są najnowszem hasłem mody! Nowe to przykazanie brzmi: będziesz nosiła zeszłoroczne rzeczy, a nawet starsze, i będziesz je sprytnie przerabiała, odświeżała.



Prawie wszystkie modele — mają różne szczegóły umożliwiające przerabianie garderoby, która jednak nie traci na szyku i w niczem nie zdradza odświeżających zabiegów. A zresztą, czyż nam nawet nie żal krajać nowy materjał na tę różne plisy, wstawiane części, karczki, fałdy, kloszyki? A one to właśnie służą idealnie do rozmaitych poszerzeń i przydłużeń, do nadania toalecie marki nowości sezonowej. Pozatem — jakże ważna rzecz:

Do szyku należy — opowiadać o przerobionych modelach, o pomysłach w tym kierunku i szczycić się posiadaniem przynajmniej kilku tak chytrze zmodernizowanych toalet i okryć. Jak więc widzimy, wszystko sprzyja oszczędności, która jedynie może w szybkiem tempie poprawić ciężkie położenie finansowe w kraju. Mistrzyniami w tym względzie są paryżanki, na których przecie w rzeczach mody wzorujemy się stale.



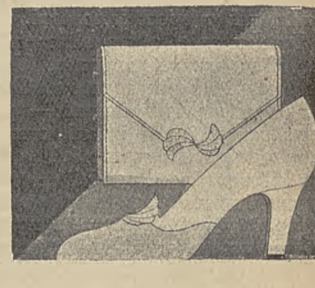
Na dni deszczowe w lecie — w upalny czas, trudno nosić wełniane okrycia, które zanadto grzeją. Płaszczyki gumowe i trench-coaty również za ciężkie, a ponadto od kilku lat niemodne. W ich zastępstwie ukazały się zabawne, mocno kolorowe, przejrzyste płaszczyki nieprzemakalne, które nie grzeją, a ochraniają przed deszczem i są tak cieniuchne, że można je nosić w małej torebce z tego samego materjału, dołączanej do płaszczyka. Są bardzo praktyczne ze względu na znikomą pojemność i możność zabierania ich z sobą na wszelki wypadek, bez obciążania się zawadzającym balastem, jaki stanowił zwykle normalny płaszcz deszczowy. Również soczyste kolory, w jakich są wyrabiane, wnoszą wesołą nutę do garderoby.

Wzorzyste muśliny — chwilowo wycofane, pojawiły się masowo na suknie dzienne i wieczorowe. Dla odmiany mają tło ciemne, najczęściej czarne, a kwiaty jasne w pastelowych odcieniach. Zeszłoroczne jasne tła można poprawić ciemnym spodem.

Rękawiczki — modne jak nigdy dotychczas, zwłaszcza zaś wobec krótkich rękawów. Do kostjumów białe, piaskowe, bronzowe lub popielate. Do sukien letnich białe, czarne lub zharmonizowane z jakimś szczegółem toalety. O rodzajach skórek i innych materjałach już pisałam.



Obuwie — jest niesłychanie ważnym szczegółem, a źle dobrane lub zaniedbane obniża poziom toalety. Na ulicę najmodniejsze są półbuciki na słupkowym lub zupełnie niskim obcasie, albo czółenka. Zamsz bardzo wzięty nadal, kolorowa giemza, a połączenia skórki granatowej z białą i czarnej z białą cieszą się ogromnem wzięciem. Dalej lakier — sam lub w połączeniu z zamszem. Podniszczone obuwie można zupełnie odnowić płynami służącemi do tego celu, które są wyrabiane we wszystkich odcieniach. Można też niemi przefarbować obuwie na inny kolor, ale nigdy na jaśniejszy od pierwotnego lecz na ciemniejszy.



Pończochy — nosimy z wiosną jaśniejsze, aniżeli w zimie. Czasem nawet zupełnie jasne, dobrane do materjału sukni. Z kolorów zasadniczo modnych wymienić należy odcienie popielate, szare i złotawo-rdzawe. Modna pończoszka powinna mieć strzałkę, ale nie haftowaną, lecz ażurową.

Torebki — nosimy w barwach żywych, odmiennych od toalety, wśród których barwa czerwona zapanowała bezkonkurencyjnie. Coprawda, wygląda też ślicznie przy każdej sukni: czarnej, granatowej, popielatej, niebieskiej, zielonej i t. d. Dobrze jest, gdy kolor torebki powtórzy się jakimś motywem na kapeluszu, albo na szalu; całość zyskuje wówczas bardzo.

Parasolki — czy są modne? Ależ, oczywiście! Pod jednym warunkiem: byle nie w czarnym kolorze! Bo ten jest na indeksie — ale tylko gdy idzie o parasolkę. Możemy sobie pozatem pozwolić na wszystkie żywe, jaskrawe kolory, na kraty i pasy wielobarwne, na wzory geometryczne i kwiatowe. I jeszcze jedno: parasolka w tym roku dba o smuklejszą linję...

O kwiatach — do sukien i kostjumów już wiemy cośniecoś, ale zawsze znajdzie się jeszcze jakaś „ostatnia nowość” do zakomunikowania. Otóż — długie łańcuchy na szyję z kwiatów, drobniutkich oczywiście, wykonanych z batystu lub z linon, a zharmonizowanych z kolorem powiewnych letnich sukien, wyglądają czarująco i robią wrażenie zabawek dziecięcych. Do garniturów „lingerie” wymyślono kwiaty z wiotkich walansjenek, które dyskretnie i nader wdzięcznie zdobią białe przody. Również wiotkie batysty ażurowo haftowane nadają się na kwiaty; robimy więc z nich istne cacka we wszystkich jasnych, pastelowych kolorach.

Paskom — poświęcamy dużo uwagi i rozwijamy pomysłowość w kierunku nowych odmian. Obecnie cieszą się łaskami szerokie paski noszone do wszystkich sukien ze skórki safianowej, zamszowej i lakierkowej. Czasem wkładamy dwa paski w odmiennych kolorach, jeden szerszy, drugi węższy. Albo szeroki pasek wykonany z materjału sukni urozmaicamy dwoma innemi kolorami, np. granatowa suknia z paskiem granatowo-czerwono-białym i z białym kołnierzem w kształcie kapiszona.



Ręcznie szydełkowane bereciki — są ostatnią pasją paryżanek. Wielobarwne, w odcieniach wesołych, zharmonizowanych z przybraniem i drobnemi szczegółikami toalety, robią milutkie, młodociane wrażenie.

CAILLER-SOBAŃSKA

MODELE MÓD

KOMPLETY LETNIE Z KRAJOWYCH MATERJAŁÓW





60 Komplet z zielonej żorżety wełnianej. Bluzka i przybranie żakietu z białego jedwabiu.

61 Komplet z krepy chińskiej w dwóch kolorach: białym i czarnym.

62 Popołudniowy komplet z niebieskiej żorżety. Żakiecik i spódniczka przybrana gufrowaną falbanką.

63 Wytworny komplet popołudniowy z pomarańczowej krepy. Jedynem przybraniem ciemno-rdzawa kokarda z aksamitki na ramieniu.

SUKNIE POPOŁUDNIOWE Z KRAJOWYCH TKANIN





64 Suknia z białego meteoru w ciemne centki. Krótkie rękawy i wolanty na spódniczce krojem kloszowym.
65 Suknia z szafirowego muślinu w deseń; przybranie białe.
66 Suknia z crêpe javanais w kolorze szampańskim, nakrapianym bronzowym.
67 Suknia z markizety w deseń, przybrana stebnami.



STROJNIEJSZE SUKNIE
Z WZORZYSTYCH TKANIN KRAJOWYCH

68 Suknia z cytrynowej żorżety. Spódniczka pozacinana, kloszowa, szeroki kołnierz pelerynkowy opada na ramiona i zastępuje krótkie rękawy.

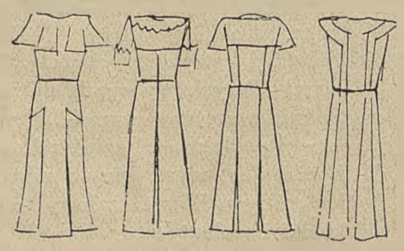
69 Suknia z szyfonu czarno-białego. Żabot związany na karku na kokardkę, rękawki do łokcia również z kokardkami.

70 Fantazyjna, asymetryczna suknia w kolorze różowym w deseń jasno i ciemnolawendowy. Wąski szalowy kołnierz związany na kokardę; na spódniczce zakładki i wolanty.

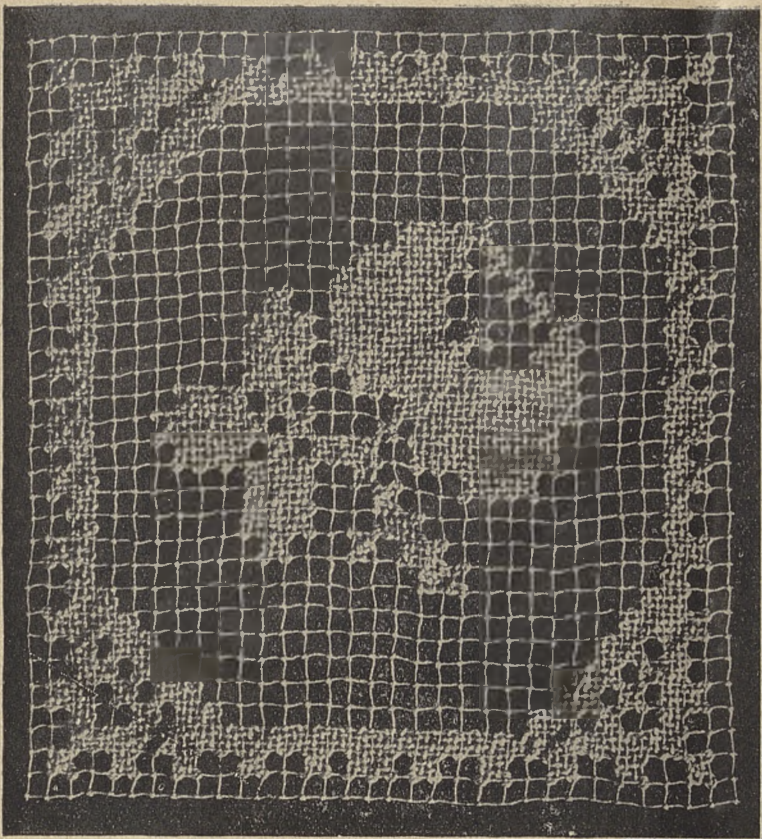


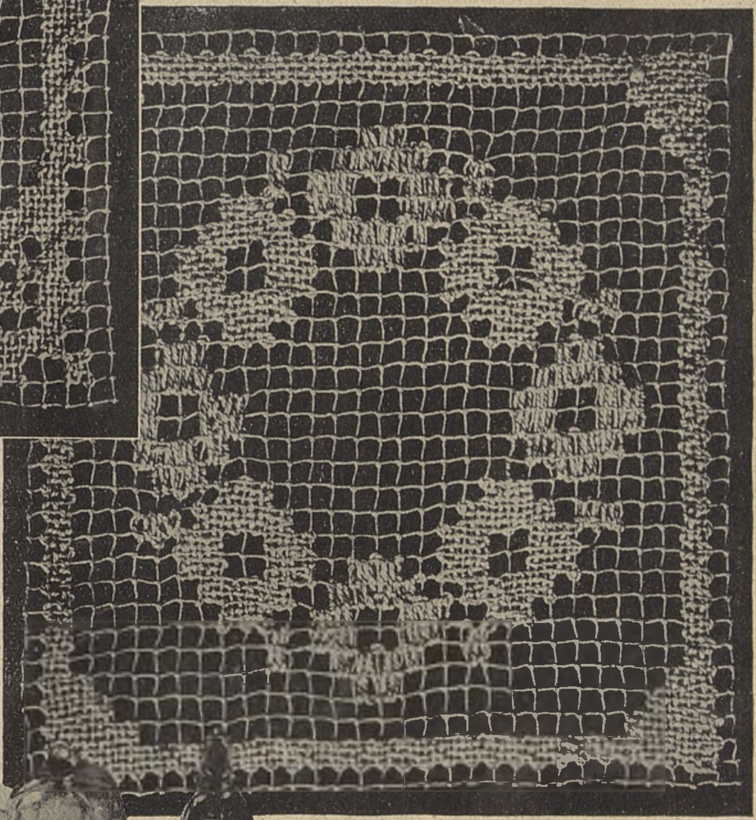
SUKNIE CODZIENNE Z KRAJOWYCH MATERJAŁÓW DO PRANIA





71 Suknia z jedwabnego płótna, przybrana ciemnym krawatem i paskiem.
72 Suknia z etaminy w krateczkę. Pasek ze skóry, krezka u szyi i rękawów z linon.
73 Suknia z surowego jedwabiu w kontrafałdy dołem. Kołnierzyk z białej żorżety, guziczki i pasek czarny lakierkowy.
74 Suknia z płócienka w deseń, ciekawie pozacinana i zbluzowana nad paskiem ze skóry. — Powyższe modele nadają się do pracy w biurze, o ile dodamy długie rękawy.

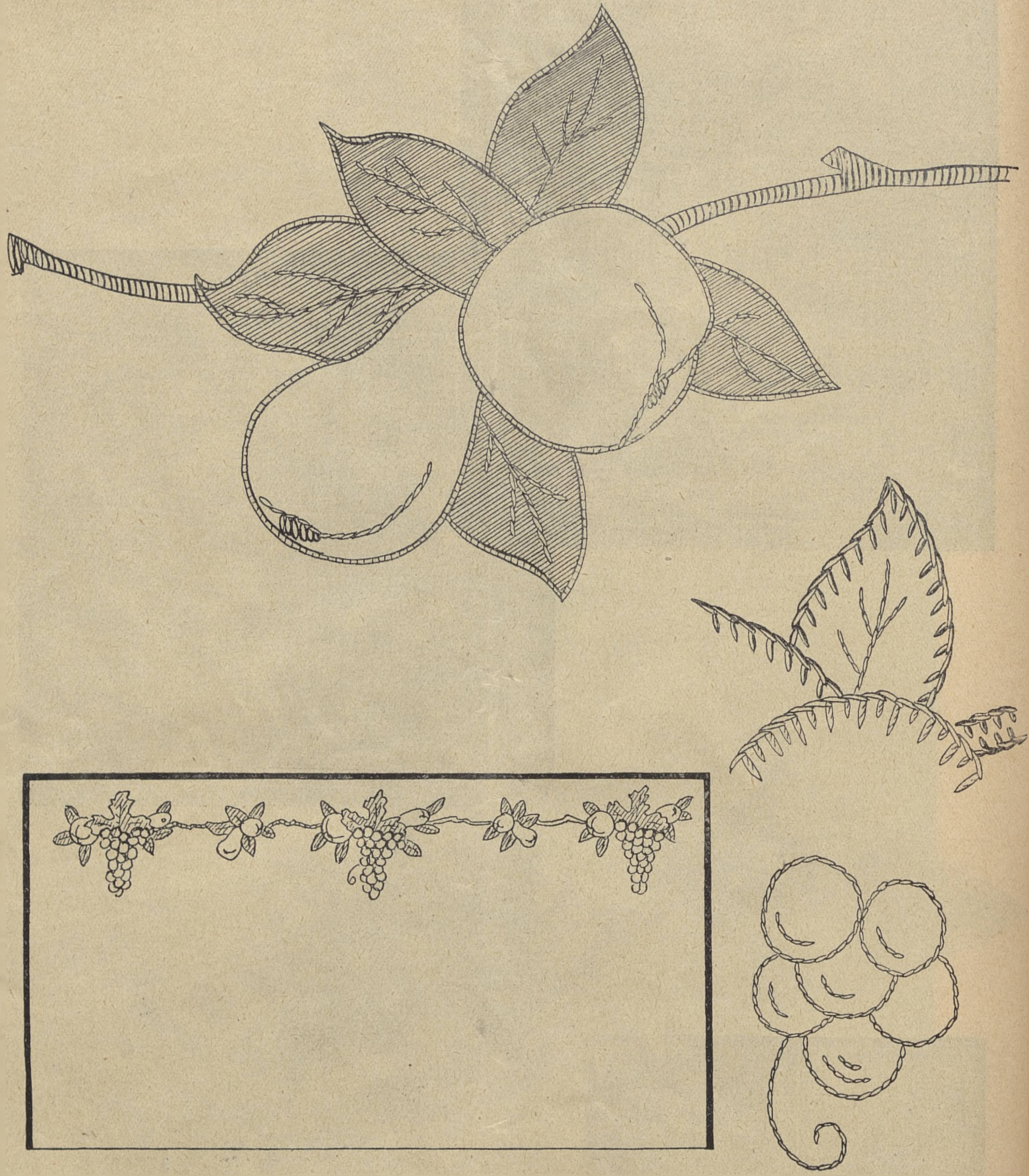






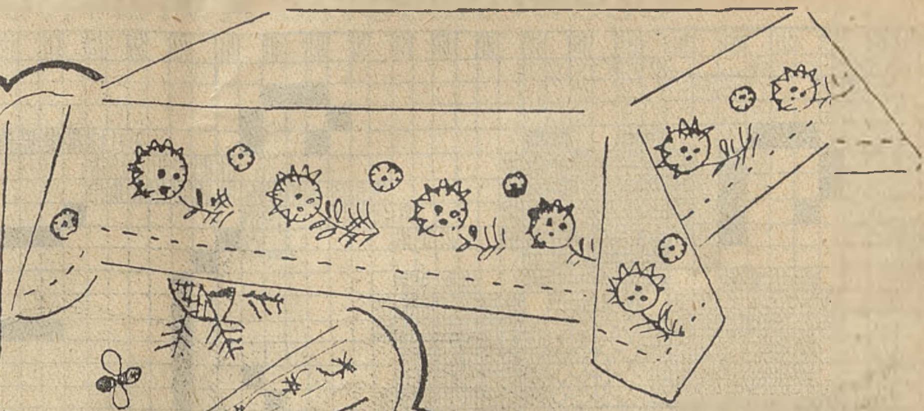
Ryc. 23. — Jak łatwo wykonać te siatkowe kwadraty, a jak wielorako można je zastosować! Powyżej sfotografowany biegnik długości 90 cm a szerokości 41 cm, jest tylko jednym z wielu przykładów zastosowania ich w praktyce.

Rozmiary kwadratów przy wielkości oczek 6 mm wynoszą 19 cm, przy oczkach 8 mm 26 cm. Kwadraty u dołu stronicy są wielkości 18 cm przy oczku 6 mm, 24 cm przy oczku 8 mm, lub 30 cm przy oczku 10 mm. Zwracamy uwagę, że roboty cerowane na siatce są zarówno modne, jak wykwintne i trwałe. Wykonanie zaś filetów nie jest trudne (podaliśmy dokładny kurs tej techniki), nie pochłania zbyt wiele czasu, a już wcale nie jest kosztowne.

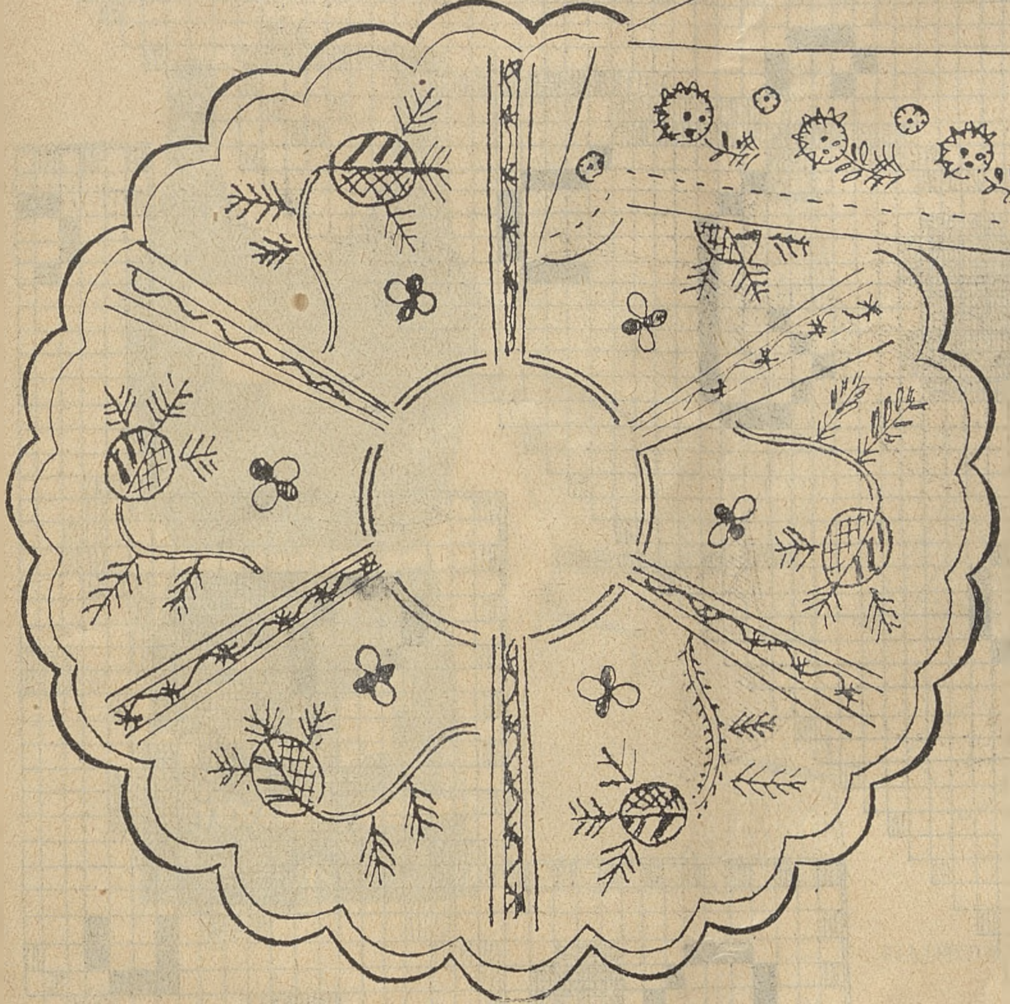


Ryc. 24. — MOTYWY OWOCOWE do ozdobienia garnituru w pokoju stołowym albo kuchni, jak makaty, obrusu, nakrycia na kredens, kotary, poduszki i t. p. Wykonanie: aplikacja albo ściegi dziergany i pocztowy (wodny). U góry część wzoru naturalnej wielkości, wykonana aplikacją, obok fragmenty wykonane haftem.

Z. KULCZYCKA



Ryc. 25



Ryc. 26

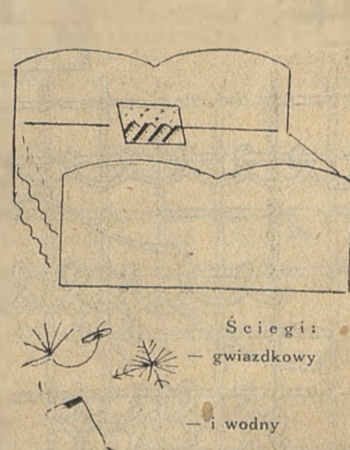
ŁATWE, SZYBKIE ROBOTY RĘCZNE NA WAKACJE

Każda z pań bierze z sobą na letnie wywczasy pewien zapas robótek. Nasze na tej stronie uwidocznione hafty odpowiadają temu celowi podwójnie: dadzą się szybko wykonać i można ich użyć do ozdoby mieszkania na letnisku. Hafty te wykonuje się w żywych miłych barwach.

Proszę już zamawiać wzory naturalnej wielkości, by wczas przygotować materjały potrzebne do wykonania tych robót.



Ryc. 27



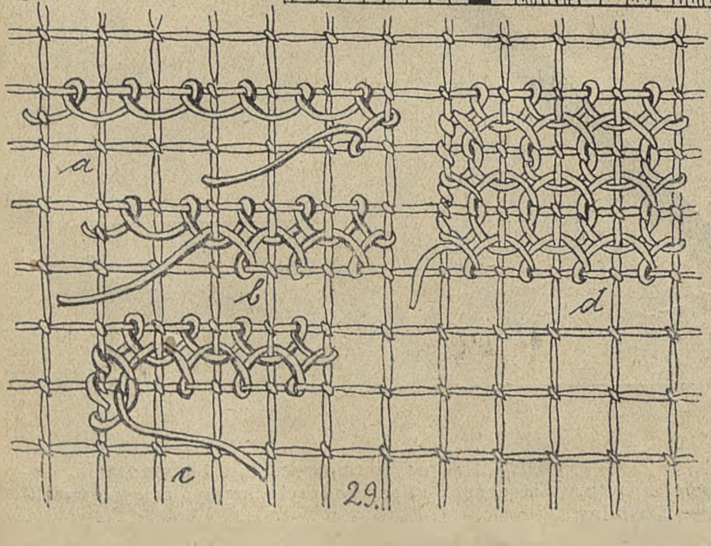
Ryc. 25. — SERWETA OGRODOWA. Aplikacja haft barwny na białem lub kremowem płótnie.

Ryc. 26. — SERWETKA na szarem płótnie, wykonana białym kordonkiem D M C nr 8 lub też mouliné D M C.

Ryc. 27. — PODUSZKA na kremowym lub białym opalu, batyście lub tp. Wstążeczki atłasowe szyte kryto; ściegi gwiazdkowy i wodny.

Na wzorach dokładne szczegóły.



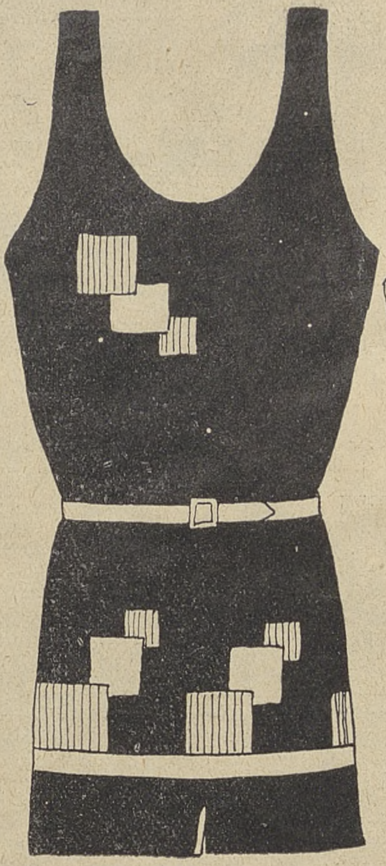


ROBOTY SIATKOWE

Podajemy wzór na trójkąt, służący jako ozdoba do bielizny pościelowej, do stor, albo do obrusów. Do tego stosowna koronka. Obydwa wzory wykonywa się ściegiem płóciennym, rzadkiem i gęstem cerowaniem, oraz ściegiem festonowym, którego wykonanie pokazujemy obok.

Nitkę należy przywiązać do siatki, następnie zaczepiać ją luźno o każde oczko siatki, rys. a. Przy drugim rzędzie tego ściegu zaczepiamy o dolne nitki oczek, następnie o pionowe nitki, ponad festonikiem pierwszego rzędu, rys. b. Przy trzecim rzędzie owijamy nitkę kilkakrotnie wokoło pionowych nitek dwu oczek, potem postępujemy jak przy pierwszym rzędzie, z tą tylko różnicą, że wkłuwamy igłę w kluczkę rzędu poprzedniego, rys. c. Rysunek d przedstawia kilka wykończonych rzędów ściegu festonowego.

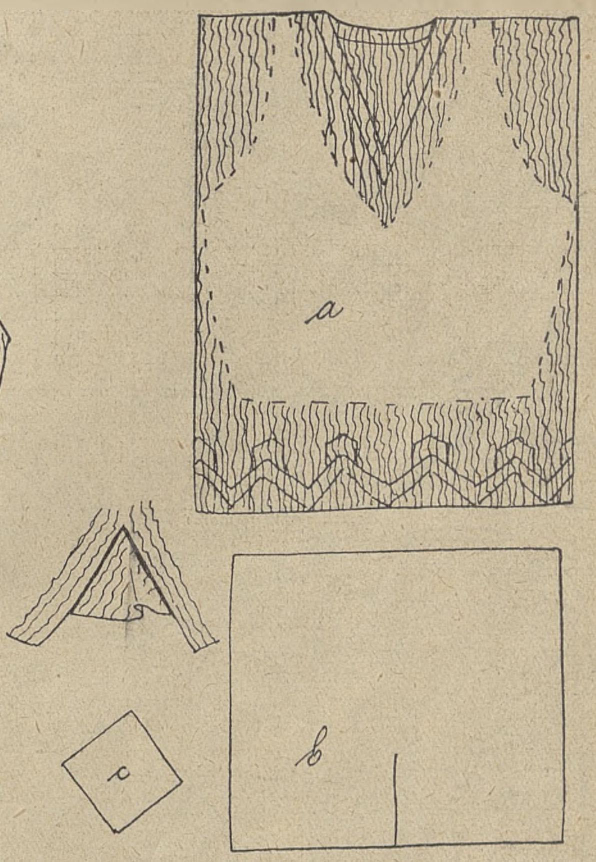
Z. KULCZYCKA



1.



2.



NAJMODNIEJSZE UBRANIA KĄPIELOWE ZE STARYCH GARSONEK

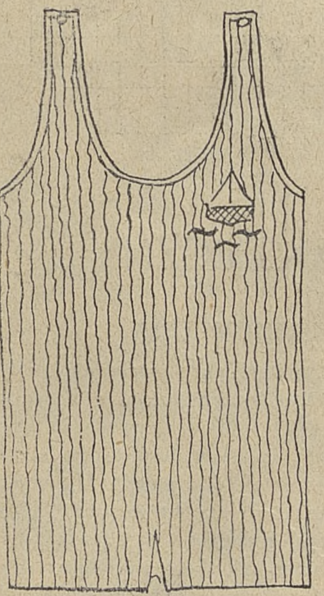
Przekonaliśmy się, że wełniane ubrania kąpielowe są najbardziej higjeniczne i miłe, gdyż zmoczone szybko się ogrzewają i nie ziębią ciała. Ubrania te są oczywiście droższe od bawełnianych, ale praktyczne panie zaradzą temu, przerabiając niemodne garsonki albo sukienki trykotowe.

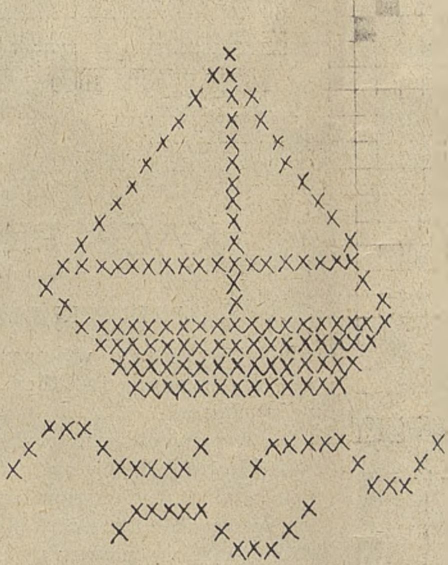
Ubrania kąpielowe składają się bądź ze spodenek i dżempra, rys. 1, bądź są jednolite, rys. 2. Dżemper garsonki bardzo łatwo przerobić, wycina się poprostu dekolt i otwory na ramiona. Brzegi należy wykończyć ukośną listeweczką, albo lamowaniem. Spodenki powstaną ze spódniczki, którą ucina się w odpowiedniej wysokości. Po zacięciu przodu i tyłu w wysokości kroku, rys. b, wystarczy wstawić kwadrat 15—20 cm szerokości i długości i wszyć go, jak widać na rysunku. Dolne brzegi nogawek należy wykończyć listewką, górą przewleka się tasiemkę i spodenki gotowe. Przy zszywaniu części trykotu należy uważać, żeby szew był luźny i elastyczny, a więc najlepiej wykonać go ręcznie. Gotowy szew wykończa się z lewej strony przyszywając rozprasowane brzegi lekko do trykotu.

Jednolite ubranie powstanie przez zeszycie staniczka skrojonego z dżempra, rys. a, ze spodenkami ze spódniczki. Szew zakrywa pasek.

Ubrania można ozdobić aplikacją z jedwabiu albo trykotu, rys. 1, lub też barwnemi taśmami robionemi na drutach lub szydełkiem. Również haft krzyżykowy albo łańcuszkowy nadaje się doskonale do ozdobienia, o ile wyszywa się luźno, by nie ściągnąć trykotu.

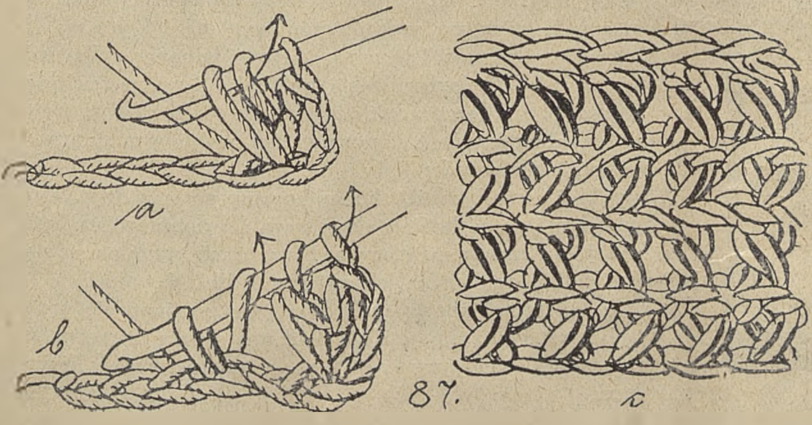
Z dżempra mamusi powstanie też milutkie ubranko dla dziecka, a barwnie wyszyty obrazek przybierze je pięknie.

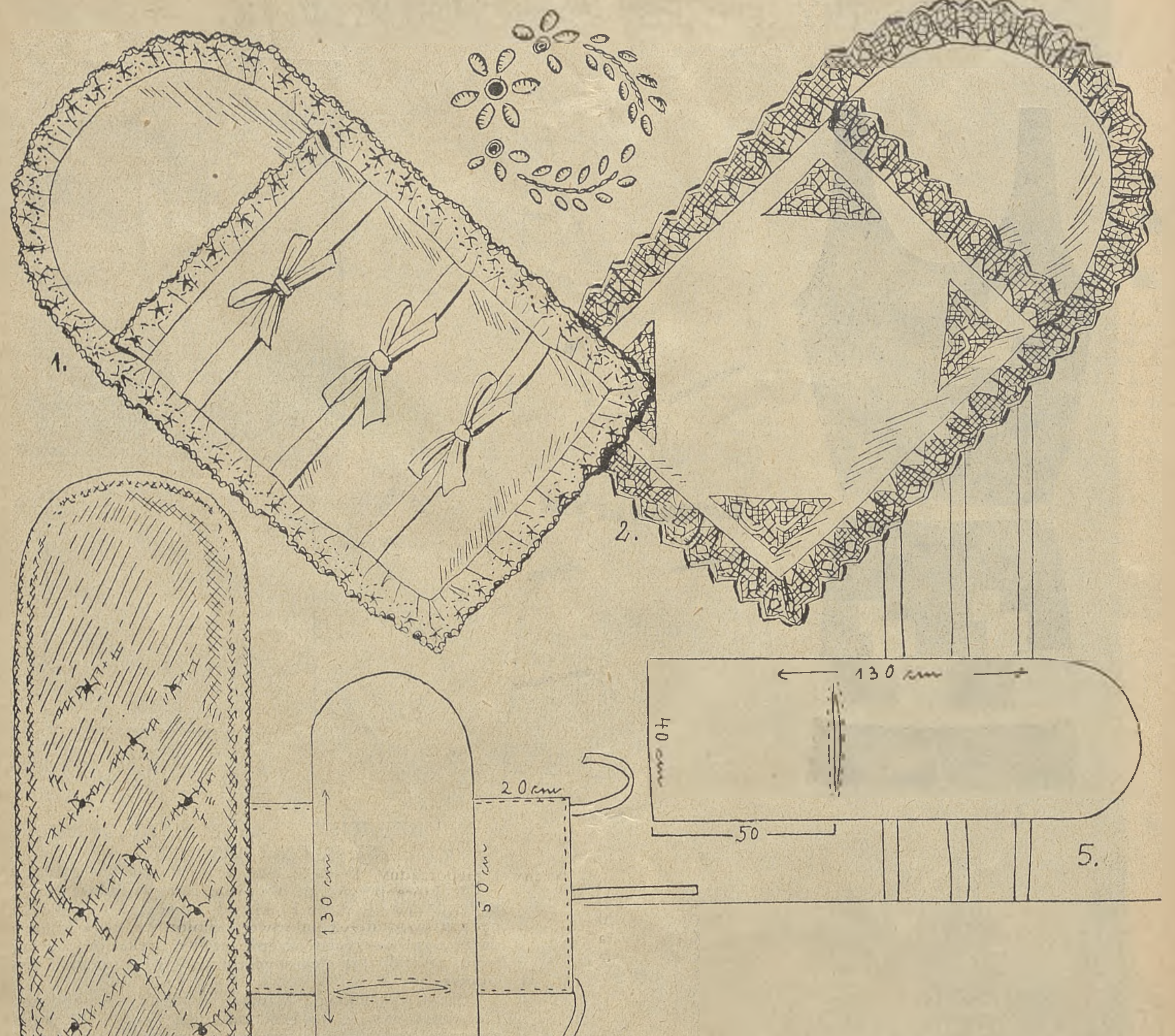


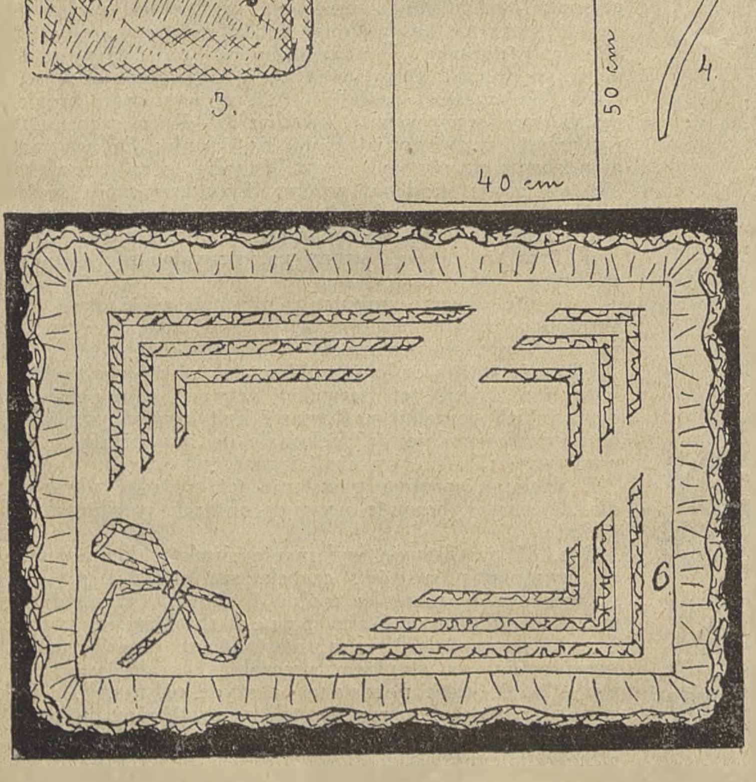


Rys. 87 przedstawia wykonanie słupków krzyżowych do wyrabiania switrów, czapek, szalików i t. p. Do piątego oczka łańcuszka zrobić 1 słupek, raz nawinąć, przewlec nitkę przez oczko p r z e d słupkiem, przerobić 2 oczka na szydełku, rys. a, nawinąć raz, przewlec nitkę przez oczka z a słupkiem, przerobić 2 oczka, nakoniec wszystkie 3, które pozostaną na szydełku, rys. b. Następne rzędy wykonywa się tak samo. Można je przerwać rzędami ścisłych oczek, wtedy robota ma wygląd nieco odmienny.

Z. KULCZYCKA







KĄCIK PRAKTYCZNY

PODUSZKI DLA NIEMOWLĘCIA

Podajemy sposób wykonania materacyka, względnie poduszki, dla niemowlęcia, chcąc zadośćuczynić życzeniu jednej z Czytelniczek.

Do wypełnienia materacyka używa się w najnowszych czasach włosienia, który nie rozparza tak jak pierze. Higjeniczniejsza od pierza jest również wełna owcza, która grzeje silnie bez ujemnych właściwości pierza. Rysunki 4 i 5 podają dokładne wymiary poszewki na materacyk, który powinien być o 3—4 cm krótszy i węższy. Najprostszy krój poszewki przedstawia rys 5, która po wykończeniu wygląda jak na rys. 1. Jeśli chcemy sobie uprościć pracę, dajemy falbankę tylko wokoło wezgłowia albo wezgłowia i boków, dół zaś pozostawiamy bez ozdoby. Poszewka składa się oczywiście z dwu części płótna; w jednej z nich, t. j. wewnętrznej, wykonywa się otwór do wsuwania materacyka.

Drugi krój nieco bardziej skomplikowany posiada dwie boczne części z płótna podwójnie skrojonego i związanego na środku, nad dolną częścią materacyka. Na wierzch przypina się nakrywkę ozdobioną haftem, jak np. rys. 2 albo 6.

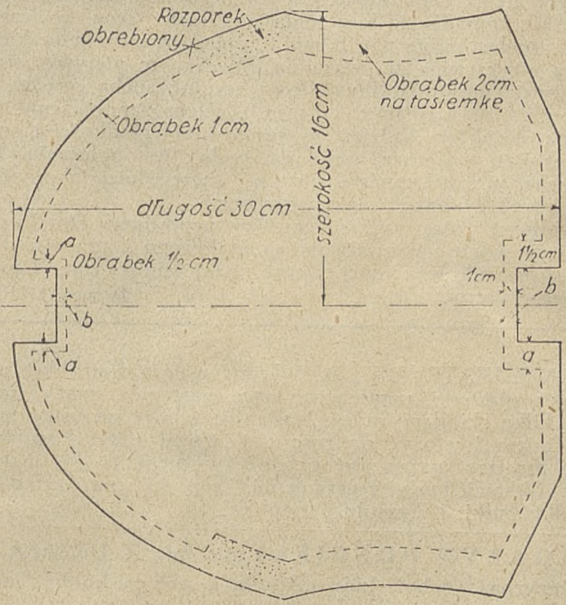
Części, na której spoczywa główka, nie powinno się ozdabiać, gdyż wstawki i t. p. drażnią delikatną skórkę niemowlęcia.

Na żądanie dostarczamy krojów na kompletne wyprawki niemowlęce.

Z. KULCZYCKA

CZYSZCZENIE I PRZECHOWYWANIE OBUWIA *

Każda z nas lubi mieć ładne obuwie i ceni je u innych. Może jednak nie wszystkie zdajemy sobie sprawę z tego, że wygląd i trwałość obuwia zależą od jego wyboru, noszenia, czyszczenia i przechowywania. Obecnie pragnę omówić zagadnienie przedłużenia trwałości obuwia przez odpowiednie czyszczenie go i przechowywanie.



Wzór wykroju pokrowca na pantofel. — Kolejność czynności przy szyciu pokrowca: 1) *a* i *b* zszyć razem; 2) zszyć tył; 3) zszyć przód do krzyżyka; 4) obrębić rozporek; 5) zrobić obrębek na tasiemkę.

Czyszczenie obuwia. Nie mogę opisywać służących do tego celu rozmaitych gatunków past i płynów, bo jest ich bardzo wiele, i dużo dobrych. Dla droższego obuwia można kupić pastę czy płyn odrazu przy kupnie; w solidnym sklepie dobrze poradzą, bo sprzedającym chodzi o ładny wygląd i dobrą konserwację obuwia.

Do czyszczenia podeszew są potrzebne: stary nożyk do oskrobywania podeszew, gazety do wycierania ich na sucho (o ile były zabłocone) i szczoteczka twarda (może nią być stara szczotka do zębów) do czyszczenia rantu (wystającej części podeszwy). Do wierzchniej skóry obuwia zwykłego służą: ściereczka miękka do usuwania kurzu, szczoteczka lub pendzelek do rozsmarowywania pasty albo płynu i miękka szczotka do szybkiego wcierania dla nadania połysku. Zamiast tej ostatniej można używać „szczotki" obciągniętej flanelą lub suknem, które zakłada się i przymocowuje obręczą tak, jak przy polissoir'ach do paznogci. Pod flanelę lub sukno trzeba podłożyć włosie, np. ze starego materaca. Do delikatniejszego obuwia potrzeba: ściereczki, miękkiej szczotki, rękawiczki z aksamitu.

Trzeba mieć inne szczotki i ścierki do obuwia jasnego, a inne do ciemnego. Ściereczki i szczotki do pasty trzeba prać co dwa tygodnie. Wszystkie przedmioty do czyszczenia należy przechowywać w pudełku; czasami służą do tego specjalne szufladki w stołkach.

Po wyczyszczeniu podeszwy wycieramy z kurzu ściereczką wierzchnią skórę, i zupełnie suchą, smarujemy cienko pastą; gdy trochę przeschnie, czyścimy miękką szczotką, a później nadajemy połysk przez nacieranie specjalną rękawiczką lub miękkim gałgankiem, nacierając lekko szybkim ruchem.

Odkryję Paniom tajemnicę, dlaczego obuwie czyszczone na ulicy, zawsze bardzo się lśni i dłużej zachowuje dobry wygląd: po pierwsze obuwie znajduje się na ciepłej nodze, dzięki czemu pasta prędzej wnika w pory, więc można równiej i cieniej ją rozsmarować; ponadto w tym wypadku pasta prędzej schnie; po drugie noga jest mocno oparta na stojaku i można wygodnie zastosować prędki ruch szczotką i gałgankiem. Stąd wnioski: pastę trzeba smarować cienko, a szczotką i gałgankiem lub rękawiczką trzeć bardzo prędko i lekko.

Do lakieru trzeba jak najdłużej pasty nie używać, bo skóra matowieje, i tylko czyścić ściereczką; rant, obcas i część podeszwy (którą nie dostajemy do ziemi) czyścimy pastą.

Obuwie reniferowe, zamszowe i t. p. czyścimy zwykłą szczotką do obuwia bez pasty; gdy skóra zaczyna błyszczeć, nacieramy ją szklanym (szmerglowym) papierem lub szczoteczką drucianą.

Co do czyszczenia kosztowniejszego obuwia — to odpowiednie wskazówki dadzą przy kupnie.

Ściemniałe obuwie bronzowe odzyskuje barwę, gdy po wytarciu z kurzu od czasu do czasu nacierać je mocno ściereczką, zwilżoną w surowem mleku lub w soku z cytryny.

Bardzo zniszczone obuwie można polakierować, ale niedługo będzie pięknie wyglądało, bo jeszcze dobrych niepękających lakierów nie mamy.

Przechowywanie obuwia. W każdym dobrze zorganizowanym domu powinno się przewidzieć dostateczną ilość miejsca na obuwie. Służyć może do tego mała szafka z półkami albo specjalnie na to przeznaczony dół szafy od ubrań lub wreszcie gniazda na drzwiach tejże szafy. Pomieszczenie na obuwie musi być na tyle przestronne, by wykluczało potrzebę ustawiania jednej pary na drugiej, co jest wysoce niepożądane zarówno ze względu na niszczenie obuwia jak i na niewygodę przy wyjmowaniu. Do szafy należy odkładać tylko obuwie wyczyszczone.

W myśl dążenia, by każdy przedmiot znajdował się tam, gdzie bywa potrzebny, obuwie trzeba przechowywać w jednem pomieszczeniu lub w kilku, zależnie od ilości domowników oraz wielkości i rozkładu mieszkania. Bo każdy właściciel obuwia będzie tylko wtedy korzystał zeń wygodnie i zmieniał je we właściwym czasie, gdy będzie ono dostępne w każdej chwili, a więc np. nie w pokoju przejściowym, w którym lekcja się odbywa lub w pokoju sypialnym, w którym ktoś śpi. Z tych względów najodpowiedniejsze jest pomieszczenie na obuwie w korytarzach lub garderobie.

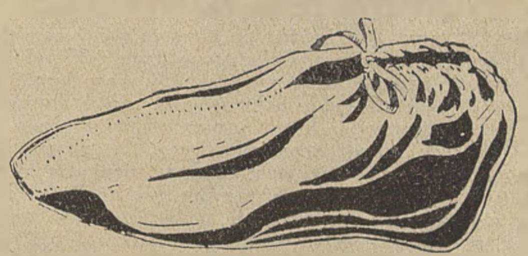
Prawidła. Po zdjęciu obuwia z nogi wkładamy je na dostosowane prawidło. Powinno się mieć prawidła do wszystkich par butów, prócz do delikatnych balowych, które się wypycha woreczkiem z materjału wypchanym papierem. Istnieją prawidła do bucików sportowych na bardzo niskim obcasie z szerokim nosem, następnie do pantofli o obcasie słupkowym lub francuskim i do wysokich butów do konnej jazdy. Każdy typ prawideł można dostać przy kupnie obuwia; w domu należy odpowiednio używać prawideł, tak by sportowe nie „rozsadzały" pantofli wizytowych, a prawidła do obuwia na wysokich obcasach nie rozrywały na podbiciu bucików sportowych.

Pokrowce. Mimo przechowywania obuwia w wygodnem, szczelnem pomieszczeniu, kurz, nasz wróg, napewno przedostanie się do wewnątrz i pokryje szarą warstwą pięknie wyczyszczone obuwie. Ażeby temu zapobiec, trzeba uszyć pokrowiec na każdą sztukę.

Pokrowce przydadzą się nietylko w domu, ale i w podróży. Często widzimy podróżujące eleganckie panie, którym z walizki wygląda obuwie pozawijane w papier lub gazetę. Papier i gazeta rwą się prędko i wkrótce przedstawiają wygląd wysoce nieestetyczny i nieporządny. Ponadto gazeta często zostawia druk na przedmiotach, które przylegają do owiniętych nią bucików. Stosowanie pokrowców usunie te braki.

Każda z Pań może uszyć pokrowce z kolorowej flaneli; są one tanie i prędko się je szyje. Najlepiej szyć w ręku, bo szwy na „nosie" i na pięcie są małe i niewygodnie szyć je na maszynie.

Ponieważ flanela bywa przeważnie szerokości 70 cm, do pokrowców na jedną parę damskich pantofli wystarcza 30 cm za 58 groszy; potrzeba też metra tasiemki białej za 8 gr. i nici za 4 gr. Koszt obu pokrowców wynosi zatem 70 gr., a czas ich uszycia 55—60 minut.



Pokrowiec na pantofel.

Nie potrzeba dopasowywać pokrowca do numerów obuwia; tylko można zrobić większe niż podano tu na wzorze na obuwie męskie, a trochę mniejsze na dziecinne. Wyżej podany fason pokrowca jest odpowiedni na półbuciki i pantofle damskie; na wysokie buciki i buty trzeba dodać cholewkę, zawiązywaną na tasiemkę.

Gdy Panie zrobią prawdziwy wykrój z papieru, proszę zgiąć go na pół (od nosa do pięty), gdzie jest linja kropka-kreska, i przyłożyć do materjału złożonego podwójnie, tak żeby podeszwa pokrowca nie miała szwu.

GABRJELA KWAPISZEWSKA

* Przedruk z czasopisma „Organizacja Gospodarstwa Domowego", nr 5, 1931.

Nowoczesny prąd racjonalnego pielęgnowania urody

W poprzednim artykule starałem się przekonać czytelników o zgubnym wpływie szablonowego pielęgnowania urody uniwersalnemi kosmetykami, a zatem o konieczności dostosowywania nieszkodliwego preparatu lekarsko-kosmetycznego do danej właściwości cery, wieku, ba nawet — pory roku. Dążeniem mojem też będzie odsłonić nielogiczność przestarzałych nawyknień i przesądów, jakiemi dziś jeszcze tuzinkowa „literatura" niepowołanych doradców — karmi ogół. Jako przykład niechaj posłuży mylne zapatrywanie na temperaturę wody do mycia twarzy. Utarło się mniemanie, jakoby zimna woda sprzyjała czerstwości skóry twarzy, a tymczasem udowodniły ścisłe doświadczenia naukowe wręcz szkodliwe jej działanie. Myjąc skórę zimną wodą, ma się wprawdzie uczucie orzeźwienia, z powodu wpływu zimna na zakończenia nerwów, ale za tę chwilową przyjemność pozbawiamy się szeregu zbawiennych dla cery czynników. Przedewszystkiem niezbitym jest faktem nierozpuszczalność wydzielin skóry w zimnej wodzie. Na twarzy zatem mytej zimną wodą zalegają przez czas posługiwania się nią wszelkie wydzieliny skóry, warunkujące nieczystość cery. W porach krzepnie tłuszcz i ciała białkowe, naskórek ulega twardnieniu, co sprzyja załamywaniu się naskórka w postaci linijek. A najważniejsze: odpada moment ożywczy wskutek braku koniecznego dla tężyzny skóry dopływu ciepła. Kardynalną zatem zasadą pielegnowania twarzy jest mycie tak ciepłą wodą, jaką bez przykrego uczucia znieść można. Odnosi się to do każdej właściwości cery, głównie zaś do tłustej (połysk, pory, wągry i t. d.). **Tłustą** cerę spłókuje się długo gorącą wodą, **bez poprzedniego natłuszczenia jej kremem,** poczem myje się lekko proszkiem marmurowym „Miraculum". Wystrzegać się wszelakich mydeł. Pudrować tłustą cerę odtłuszczającym pudrem **higjenicznym** Dra Lustra. W wypadkach łuszczenia się tłustej cery, co często się zdarza, **powlec** twarz na 10 minut przed myciem mleczkiem „Lityną", a nie kremem ani wazeliną. Mleczko to nietylko wygładza, ale i ożywia naskórek. **Prawidłową** zaś lub **suchą** cerę natłuszcza się przemyciem kremem: „Ultrasol", celem zapobieżenia uczuciu ściągania się skóry, tudzież uwarunkowania gładkości i soczystości. Wykwintny acz tani ten krem godny jest polecenia dla licznych wskazań codziennego użytku, szczególnie jako ochronny środek przed zmianami atmosferycznemi.

Prawidłową skórę myje się mydłem neutralnem Dra Lustra, **suchą** zaś prawdziwemi otrąbkami migdałowemi z przepisu Dra Lustra. Do prawidłowej i suchej cery nadaje się jedynie: Dra Lustra puder egzotyczny.

Dr med. J. LIBAŃSKI

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

CZY POWINNIŚMY KUPOWAĆ NA SPŁATY? (c. d.). Jeśli idzie o większą rzecz, jak futro, płaszcz, ubranie męskie albo wyprawę, a stosunki bezwzględnie uniemożliwiają złożenie kwoty potrzebnej, można korzystać z kredytu pod warunkiem, że istnieje możliwość solidnego płacenia. A jednak wynika stąd, że jeśli może się płacić raty pod przymusem, można złożyć równie dobrze gotówkę o ile — i to właśnie jest charakterystyczne dla społeczeństwa powojennego — nie zabraknie siły woli potrzebnej do przezornego oszczędzania. Dawna wymówka, że nie warto składać, gdyż pieniądz traci na wartości a towar drożeje, straciła podstawę z chwilą stabilizacji waluty i potanienia towarów, a ileż zbyt zapobiegliwych — na raty — gospodyń biada teraz, że zakupiły towary, za które byłyby obecnie daleko mniej zapłaciły!

Istnieje jeszcze jeden typ kupujących, bardzo mile widziany przez kupców. Oto przyzwyczaiła się pani płacić pewną sumę miesięcznie u kupca i gdy wypłaci należytość, bierze nowy towar niekoniecznie potrzebny, bo już się przyzwyczaiła płacić! Rzadki coprawda typ, ale niebardzo rozsądny, gdyż złożony pieniądz zawsze więcej wart, niż skład materjałów, który nie poratuje w poważnej potrzebie, bo nigdy nie można go zbyć za sumy zań zapłacone.

Przedmioty, wymagające większego wkładu, jak meble, fortepian, radjo, różnego rodzaju maszyny, niekażdy może kupić za gotówkę i niezawsze może czekać z nabyciem, aż złoży potrzebną kwotę. Toteż jest to potrzeba, która usprawiedliwia kupno na spłaty. Trudno bowiem nowożeńcom przebywać w pustem mieszkaniu albo „umeblowanych" pokojach, aż złożą pieniądze na meble. Należy tu tylko rozpatrzeć stronę prawną kwestji. Przed podpisaniem umowy powinno się ją dokładnie przeczytać a w razie potrzeby poradzić się kogoś biegłego w sprawach prawa, gdyż zawierać może warunki bardzo poważne w skutkach. Wiadomo, że kupiony towar należy póty do kupca, póki ostatnia rata nie jest spłacona. Na wypadek, gdyby kupujący nie mógł z jakiejś przyczyny uiścić raty, kupiec ma prawo w pewnym terminie żądać zapłacenia całej reszty. W razie, gdyby kupujący wogóle musiał zaniechać dalszych spłat, może wprawdzie w razie zwrócenia towaru kupcowi żądać wypłacenia uiszczonych rat, ale kupiec ma prawo odpowiedzieć na to żądaniem zapłacenia za używanie i zniszczenie albo zużycie, a suma ta nietylko często równa się zapłaconym ratom, ale przerasta je niekiedy nawet! Dlatego należy zachować ostrożność jak najdalej idącą. Trzeba też zrozumieć stanowisko kupca, który dając towar na spłaty ryzykuje bardzo dużo, gdyż mogą zajść wypadki — jak np. dewaluacja, wojna lub katastrofy żywiołowe — narażające jego mienie na poważne niebezpieczeństwo.

Odpowiedź na wstępne pytanie brzmi więc: wystrzegać się kupowania na spłaty żywności i drobnych przedmiotów albo niedrogich, kupować na spłaty cenniejsze przedmioty, jeśli możność płacenia dość wysokich spłat jest pewnie zabezpieczona, uwzględniwszy nawet nieprzewidziane wypadki, jak choroba i t. p.

ZUPA Z WĄTRÓBKI. Wyżyłować cielęcą wątróbkę, pokrajać w cienkie plasterki, umaczać w mące, następnie smażyć na maśle wraz z kilku skibkami bułki. Następnie zemleć wszystko na młynku od mięsa i włożyć do rosołu. Gotować przez kwadrans, następnie przetrzeć przez sito, posolić i popieprzyć do smaku i zaprawić żółtkami. Podać z grzankami. Proporcja: na 20 dkg wątróbki 15 dkg bułki, 1 l rosołu i 2 żółtka.

BITE ZRAZY Z CIELĘCINY NADZIANE WĄTRÓBKĄ. Pokrajać zrazy, ubić i posolić. Wątróbkę cielęcą pokrajać w plasterki, pomiędzy 2 włożyć plasterek słoninki tej samej wielkości, posolić, popieprzyć i zawinąć w płatek cielęciny. Owiązać i usmażyć na maśle. Podać ze szpinakiem i smażonemi kartoflami.

PRANIE SZTUCZNEGO JEDWABIU. Naogół powinno się unikać ostrego mydła, sody i twardej wody. Deszczówka lub woda przegotowana oraz łagodne mydło — szczególnie płatki mydlane — nadają się najlepiej do prania sztucznego jedwabiu. Nie należy mocno trzeć ani wyżymać. Do płókania dodać octu. Po delikatnem wyciśnięciu z wody rozwiesić w cieniu i prasować jeszcze wilgotny, bacząc, żeby poruszać żelazkiem wpoprzek tkaniny. Dla nadania apretury można po płókaniu umoczyć w wodzie z żelatyną, 1 listek na 1½ l wody.

MRÓWKI W MIESZKANIU można tępić drożdżami zmieszanemi z cukrem. Po spożyciu tej mieszaniny owady pękają.

POLEWANE I PORCELANOWE ORAZ FAJANSOWE MIEDNICE I WANNY czyści się szybko odrobiną soli. Wycierać nią wilgotne ściany naczynia.

TOWAROZNAWSTWO

Ze słodkich migdałów wyrabia się olejek używany w cukiernictwie i kosmetyce. Znane są otręby migdałowe. Odmianą migdałów są gorzkie migdały, używane jako przyprawa. Są tańsze i drobniejsze od słodkich; najlepsze pochodzą z Syrji. — Zawierają truciznę, t. zw. kwas pruski, toteż w większych ilościach są szkodliwe.

Orzechy włoskie krajowe nie mogą pokryć całego zapotrzebowania, sprowadzamy je więc z zagranicy, szczególnie z Rumunji, Węgier i Włoch. W kraju spotykamy t. zw. papierówki, o jasnej i cienkiej skorupce, ciemniejsze i twardsze zwyczajne i dość drobne, oraz bardzo duże zwane końskiemi, które jednak nie posiadają tak pełnego smaku jak poprzednie. Orzechy niedostatecznie wysuszone pleśnieją, zanadto ogrzane podczas suszenia zaś jełczeją i kurczą się. Szkodliwe dla zdrowia jest płókanie w siarczanie, stosowane bądź w celach konserwacyjnych, bądź wybielających. Z niedojrzałych orzechów wyrabia się konfitury i likiery.



1073

Przy kupowaniu świeżych orzechów należy uważać, żeby skorupka była jasna i żeby skórka otaczająca ziarno nie była ciemna i dała się łatwo ściągnąć. Strzec trzeba się orzechów wilgotnych, gdyż często niesumienni handlarze moczą orzechy w wodzie z solą, bądź żeby odmłodzić stare orzechy, bądź żeby zwiększyć ich wagę.

Z orzechów włoskich wyciska się olej o miłym smaku, zastępujący oliwę prawdziwą.

Wygotowane skorupki dają odwar o przyjemnym smaku przypominającym wanilję. Używa się go przy podobnych niedomaganiach, przeciw którym poleca się herbatę z liści orzechowych.

Orzechy laskowe hodowane w ogrodach są nieco większe od dziko rosnących. Rozróżniamy kilka gatunków zależnie od kształtu i zabarwienia skorupki oraz skórki ziarna. Orzechy tureckie są duże i nieco spłaszczone; duże deserowe pochodzą z Małej Azji, Hiszpanji i z Włoch.

Kupując orzechy laskowe należy zważać, żeby nie były robaczywe, co poznać można po dziurkach w skorupkach, oraz żeby nie były spleśniałe albo zbutwiałe. Suszone w zbytniem cieple jełczeją i twardnieją. Ziarnka kałatające w skorupce są stare i zaschnięte.

Z orzechów laskowych wytłacza się również olej bardzo smaczny, ale szybko jełczejący.

Orzechy amerykańskie są to ziarna dużego owocu rosnącego w Brazylji i Ameryce środkowej. Są otoczone ciemną skorupką bardzo twardą, barwy prawie czarnej. Ziarno jest białe, tłuste i słodkie, o formie przypominającej cząstkę cytryny albo pomarańczy. Stare orzechy jełczeją.

Orzeszki ziemne, mylnie zwane amerykańskiemi albo japońskiemi, rosną w ziemi w skorupce niezbyt twardej, włóknistej, kształtu podłużnego, zawierającej od 1—3 okrągłych ziarnek smacznych i dość tłustych. Spożywa się je w stanie świeżym albo zrumienione. Służą także jako namiastka droższych gatunków orzechów.

Orzeszki cedrowe o przekroju trójkątnym, mają przyjemny smak i zawierają dość tłuszczu. Rosną na limbach. Podobne do nich, lecz nieco większe są pinjole dojrzewające w krajach południowych.



ODPOWIEDZI REDAKCJI

TEL. AB. — Prosimy o adres, po otrzymaniu którego odpowiemy dokładnie. W drukowanych odpowiedziach brak miejsca na tyle szczegółów.

M. R. — Jeśli o najpraktyczniejszy komplet idzie, trzeba wybierać kolory i materjały, które się niczem nie wyróżniają. W stosunkach Pani odpowiednie byłyby barwy granatowe, czarne, ciemno-bronzowe. Pod płaszczyk w jednym z tych kolorów nadaje się każda jasna suknia, co nawet jest obecnie najmodniejszą tendencją: ciemne okrycie, jasna suknia. Czarne okrycia ciągle modne.

KRAWCZYNI. — Sztuczne jedwabie i aksamity są we Francji bardzo używane nietylko na bieliznę i skromne suknie codzienne, ale na balowe toalety. Pierwszorzędne firmy krawieckie w Paryżu używają ich na modele; figurują również często w opisach modeli, w takich żurnalach jak np. L'Art et la mode, Femina i innych. Może więc Pani uspokoić wątpliwości swoich klientek.

Chcę być powabną.

Chcę być piękną — pragnienie niezawsze ziszczalne.

Chcę być modną — życzenie, które przy braku warunków fizycznych i materjalnych, zamienia kobietę w śmieszną karykaturę. Natomiast jest cecha, nieodzowna dla pań, dostępna w każdych warunkach i więcej warta od bezdusznej piękności i ślepego naśladownictwa mody, a zawierająca się w słowach: Chcę być powabną!

Wdzięk, uroda — to coś nieuchwytnego, co promienieje z postaci, z ruchu, ze spojrzenia, co zyskuje serca i ozłaca życie. Jakże pracować dla zdobycia tej cechy, jak chronić się przed jej utratą?

Podstawowym warunkiem jest dostarczanie organizmowi dostatecznych sił, z których jedne pójdą na utrzymanie sprawności fizycznej, inne na opanowanie nerwów, inne na wzmaganie umysłu. Wdzięk współczesnej kobiety, to nie urok mdlejącego kwiatu, ale urok bogini Artemis sprawnej, opanowanej, gotowej do wysiłku, przyjmującej trud z zadowoleniem. A teraz zagadnienie: jak doprowadzić potrzebne siły do organizmu? Należy znaleźć środek, który wzmacnia mięsień serca, który dostarcza wydatnie jednostek cieplnych, pobudzających energję, który stwarza nastrój do ćwiczeń fizycznych, niezbędnych dla zdrowia, który nie obciąża organów trawiennych i nie przyczynia się do otluszczenia okolic ciała, okrywających te organy, który daje natychmiastowy odpoczynek w razie zmęczenia i który w rezultacie nie pozwala na rozigranie nerwów. Ten cudotwórczy środek jest znany, lecz u nas niestety zapomniany. Jest nim zwykły niepozorny cukier.

Świat naukowy, badając wpływ cukru na organizm ludzki, przyznał mu wszystkie wyżej wyszczególnione zalety, uznając, iż jest dla organizmu najcenniejszym środkiem odżywczym. Czas najwyższy wyciągnąć konsekwencje praktyczne z tych badań i zmodyfikować system odżywiania i sposób przyrządzania potraw. Cukier powinien stać się niezbędną przyprawą tak, jak sól. Hasło: szczypta soli, szczypta cukru! musi zostać urzeczywistnione

— „Chcę być powabną i to chcę naprawdę, aktywnie; to nie jest marzenie, ale realna możliwość, którą przez własny wysiłek zdobędę" — tak mówi pani.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**
Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3
Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34



Dodatek do „Świata Kobiecego"
Nr. 10. rok 1931.

Wzór na poduszkę

bardzo łatwy i szybki
w wykonaniu ~

Na szarem tle aplikacja
sukienkiem lub t. p.
w kolorze rdzawym,
szyta włóczką pomarańcz.
ściegiem krzyżykowym.

- - - - - = lacet żółty
= ścieg łańcuszkowy
= linja aplikacji
XXX = włóczka pomarańcz.
= krzyżyki przeszywane lacetem żółtym

Sposób wykonania:
Odbić wzór na bibułkę po linji aplikacji ~ wyciąć dane formy ~ według tychże wyciąć z sukienka; na wybitym wzorze przyfastrygować, następnie przymocować aplikacje krzyżykami.



miecz. feczkowa

Dodatek do „Świata Kobiecego" Nr 10. rok 1934.

Wzór na poduszkę

bardzo łatwy i szybki w wykonaniu.

Na szarem lnie aplikacja niebieskiem lub t. p. w kolorze zdecydowanym szyta włóczką pomarańcz. ściegiem krzyżykowym.

----- = lacet żółty

= ścieg łańcuszkowy

= linja aplikacji

XXX = włóczka pomarańcz.

XXXX = krzyżyki przeszywane lacetem żółtym

Sposób wykonania:
Odbić wzór na bibułkę po linji aplikacji — wyciąć dane formy — według tychże wyciąć z materjału, na wybitym wzorze przyfastrygować, następnie przymocować aplikację krzyżykami.





Mieczy Peczkowa